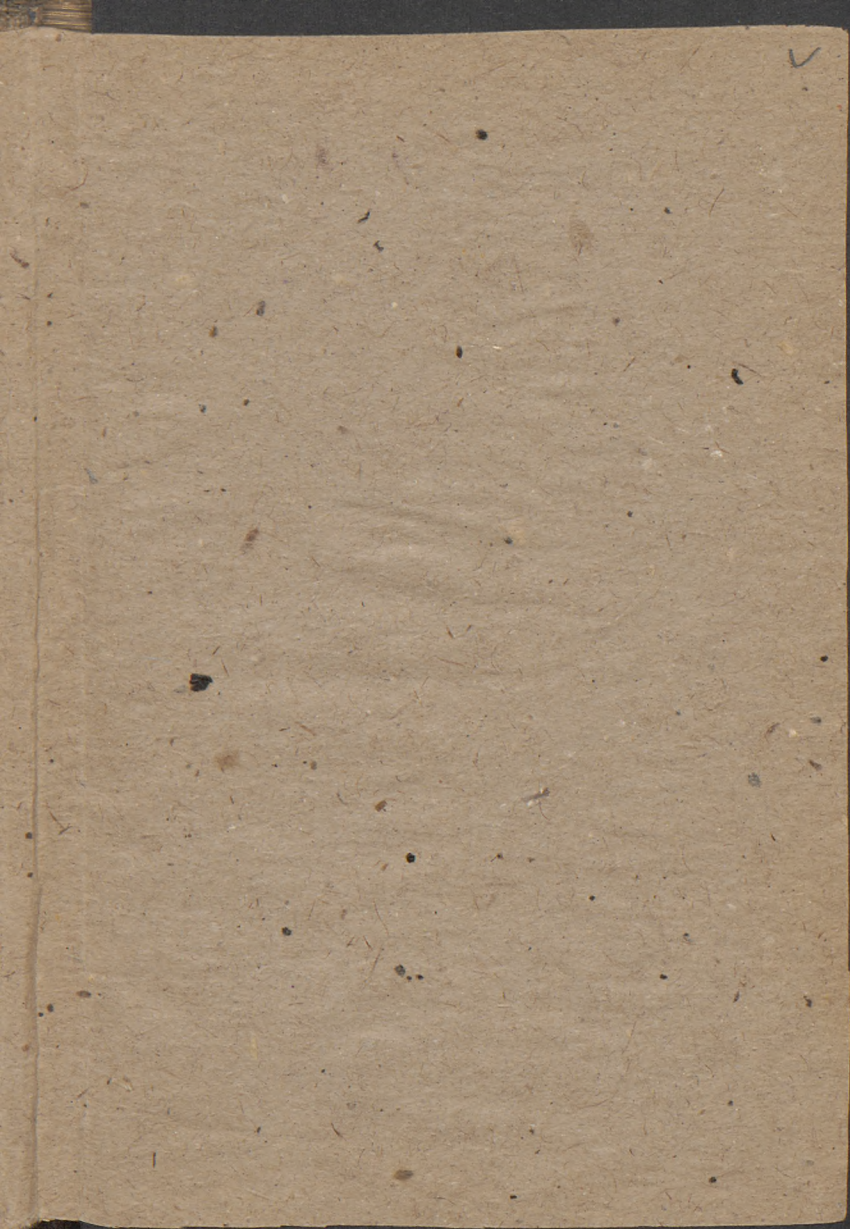




3365





Ek

W. Wladimirow.



Ekspedycja karna.

93

I Pam. 3365

W. Władimirow.

398



EKSPEDYCYA KARNA

Oddziału lejbgwardyi pułku Siemionowskiego

NA KOLEI MOSKIEWSKO-KAZAŃSKIEJ

podczas dni grudniowych.



398

WARSZAWA.
NAKLADEM BIBLIOTEKI NAUKOWEJ
Nowy-Świat 37.

1906.



OD AUTORA.

Redakcja gazety „Ruś“ otrzymała ofiary od różnych osób i grup na wydanie w oddzielnej książce tych artykułów, które były drukowane w „Rusi“ z powodu działalności ekspedycyi karnej lejbgwardyi pułku Siemionowskiego.

W jednym z listów abonentowych zwrócono się do redakcyi temi słowami:

— „Uważając, że jak najszersze rozpowszechnienie wiadomości o okrucieństwach, popełnianych przez tryumfującą reakcyę, jest jednym ze środków protestu i walki z temi okrucieństwami, upraszamy p. Władimirowa, aby wydał swoje artykuły o bohaterskich czynach pułku Siemionowskiego w oddzielnej książce i załączam na ten cel swój grosz wdowi. Nadwyżka ofiar ma być użytą na cele analogiczne“.

Następują podpisy.

Podając do wiadomości osób, które przysłały pieniądze, że książka ta została wydana kosztem autora — wyrażam głęboką wdzięczność za uznanie i współczucie dla tej pracy. Zebrane zaś pieniądze skierowuję na inne pożyteczne cele charakteru agitacyjnego.

Niech ofiarodawcy wypowiedzą się na łamach „Dwudziestego Wieku“, na co chcieliby użyć te pieniądze, a ja postąpię zgodnie z ich wolą. Jeżeli jednak nie otrzymam odpowiedzi, to oddam je na wydawnictwo z celem agitacyjnym.

W. Władimirow.

Od autora.

Z polecenia gazety „Ruś“ prowadziłem badanie na miejscu przestępnych działań ekspedycji karnej oddziału lejbgwardyi pułku Siemionowskiego, posłanego w moskiewskie dni grudniowe dla zduszenia ruchu strajkowego na kolei Moskiewsko-Kazańskiej. W styczniu, lutym i marcu na szpaltach gazet „Ruś“ i „Mołwa“ był wydrukowany materiał, zdobyty przy badaniu na miejscu całego szeregu świadków, rodzin, osób poszkodowanych i zabitych oraz ludzi, którzy się uratowali od śmierci.

W wydaniu niniejszem cały materiał został przejrany i znacznie uzupełniony przez późniejsze wiadomości, otrzymane po wydrukowaniu artykułów w gazetach, oraz przez szczegóły,opuszczane zazwyczaj w krótkich wzmiankach gazetarskich.

Polecając tę książkę uwadze czytelników, pozwalam sobie mieć nadzieję, że czytelnicy z życzliwością przyjmą moją pracę i uwzględnią, jak wielkie trudności napotykało zbadanie tej olbrzymiej zbrodni, której ofiarą padło 151 ludzi. Przy zbieraniu dokładnych danych i wybadywaniu świadków wypadło walczyć nie tylko z przeszkodami charakterze szpiclowsko-policyjnym, lecz i ze strachem, który panował wśród ludności, w której

oczach tyle krwi przelano, z olbrzymim terenem, na którym w oddzielnych porozrzucanych punktach rozwijała się działalność oddziału, wreszcie z wielką ilością ludzi zabitych. Wszystko to utrudniało i przewlekało pracę i z tego względu stanowić powinno okoliczność łagodzącą, dzięki której czytelnik pobłażliwie przebaczy może niedokładności i braki.

W. Władimirow.

ROZDZIAŁ I.

29 grudnia roku 1905 ruszył z Moskwy oddział lejbgwardyi pułku Siemionowskiego i drogę swoją na kolei Moskiewsko-Kazańskiej na przestrzeni stu przeszło wiorst zaznaczył krwawymi czynami, które zaliczone być muszą do jaskrawych momentów ruchu rewolucyjnego w Rosyi i wpisane zostaną na karty historii.

Cała ta droga od stacyi Moskwa do stacyi Gołutwino obficie polana została krwią ludzką.

Ekspedycya karna pułku Siemionowskiego postawiła sobie jako cel wyrzucić zemstę nad ludem za wszystkie jego dążenia do swobody, światła i poprawy bytu ekonomicznego. To lud miał odpokutować za nieumiejętność rządu, bezsilność i przestępność rządu i słusznie pozostaje ukarany za wszystkie swoje usiłowania wyzwolenia się, aby w ten sposób i na razie ludność przestraszyć i na przyszłość grozą przejąć. Ekspedycya postanowiła pozostawić w pamięci miejscowej ludności niezatarty ślad krwawej bachanalii z bezmyślnemi okrucieństwami, upijając się niemi w dzikiej swej wściekłości.

Ekspedycya karna zapragnęła wyrzucić zemstę na ludzie. Kto z ludu miał paść ofiarą, było dla niej obojętne. Zemsta miała być straszną, okrutną — to był cel główny. Całkiem zaś było

obojętnem, czy dotknąć ona miała właściwych winowajców ruchu rewolucyjnego, czy też przypadkowo napotkanych, niewinnych ludzi. Jedni i drudzy jednakowo są drodzy narodowi, jednakowo przezeń kochani i dlatego zemsta zarówno w jednym jak i w drugim wypadku zrobi swoje. Ważny dla ekspedycyi był pośpiech w działaniu, gdyż wywoływał on przerażenie, stanowczość i nieugiętość naczelników wojskowych, którzy nie wahali się ani na chwilę przed spełnianiem wszelkich zbrodni.

Rola ta została świetnie wypełnioną przez skład ekspedycyi, złożonej z 18 oficerów pod komendą pułkownika Rimana i oddziału wojska. Przeszło 150 ludzi zabito bez sądu i śledztwa, bez prawa powiedzenia ostatniego słowa, bez świadomości na minutę przed tem, że zostaną zabici, bez modlitwy, bez spowiedzi przedśmiertnej, bez ostatniego „przebaczenie“, zwróconego do swoich dzieci, żon i krewnych. Wszystko to zostało wykonane!... I wszystko to wywołało przerażenie, które jak krwawe widmo pędziło śladem odjeżdżającego pociągu, gdzie okrutni mściciele świętowali krwawe zwycięstwo przy jękach umierających, zbitych, poranionych ludzi. Jęki te zagłuszane były szumem i turkotem biegnącego pociągu i dzwonem kielichów „wesolej uczty“.

28 grudnia, przed wyjazdem z Moskwy ekspedycyi karnej naczelnik ekspedycyi pułkownik Riman otrzymał rozkaz od dowódcy pułku fliegeladjutanta Mina. W rozkazie tym były wyłożone te kierownicze zasady, które stały się podstawą działań ekspedycyi karnej i od których wojskowi naczelnicy w rzeczywistości mało odstępowali.

Rozkaz ten w kopii podaję dosłownie:

Kopia.

„28 grudnia r. 1905 № 349.

Uzupełnienie rozkazu dla lejbgwardyi pułku Siemionowskiego.

M. Moskwa.

I.

29-tego grudnia naznacza się ekspedycję na Kazańskiej kolei żelaznej na stacye: Perowo, Lubercy i Kołomna.

Naczelnikiem oddziału mianuje się pułkownika Rimana I.

Skład oddziału

od lejbgwardyi pułku Siemionowskiego:

9 rota: kapitan Szwecow, podpończnicy: Albertow 2 gi i Makarow.

10 rota: kapitan von Siewers 1-szy, porucznik Poliwanow i podporucznik von Vogt.

11 rota: sztabs-kapitan Nazimow 2-gi i podporucznicy: Schornhorst i Romanowski.

12 rota: kapitan Zykw i podporucznik Szramezenko.

14 rota: kapitan von Timroth 1-y, podporucznicy: von Kruzenstern i von München.

15 rota: kapitan Meier, podporucznicy Falejew i Nikanorow.

2 działą — 2-ej bateryi lejbgwardyi — 1-ej brygady artyleryjskiej.

2 kartaczownice 5-ej roty turkiestańskiej

Cel i zadanie oddziału jest owładnąć stacyą Perowo. Zrewidować warsztaty i budynki podług wskazówek komisarza okręgowego księcia Waldbolskiego i podpułkownika zandarmskiego Smirnickiego.

Odszukać prowodyrów: Uchtomskiego, Kotla-
renkę, Tataryńskiego, Iwanowa i innych podług
wskazań księcia Waldbolskiego i podpułkownika
Smirnickiego. Unicestwić drużynę bojową. Speł-
niwszy zadanie, pozostawić na stacyi Perowo je-
dną rotę, polecając jej ochronę stacyi i okoliczne-
go rejonu.

Okazywać pomoc agentom rządowym dla wzno-
wienia ruchu. Potem pojechać do Lubercy, zająć
stację, zrobić rewizję u ludności fabrycznej, po-
zatem działać tak, jak na stacyi Perowo.

Wskazówki ogólne: **Nie mieć aresztowanych
i działać bez litości, nie oszczędzając nikogo.**
Každy dom, z którego dany będzie wystrzał, spa-
lić lub zburzyć pociskami działowemi.

W miarę możności oszczędzać i ochraniać
wszelkie konstrukcyje kolejowe konieczne i potrze-
bne dla obsługi kolei żelaznej.

Na stacyi „Sortirowocznaja“ zostawić jedną
rotę, przeznaczoną na to, by nie dopuszczać ruchu
pociągów do Moskwy przez zagrodzenie drogi pod-
kładami i wywieszenie sygnału „Halt“. W ra-
zie nieusłuchania dać ognia.

Strzedz usilnie aparatów telegraficznych.

Wyruszyć następnie na stację Kołomna, gdzie
dokonać rewizyi i oględzin miejscowości i pozostać
aż do dalszych rozporządzeń.

Posterunki lekarskie urządzić: jeden na stacyi
Perowo (jeden lekarz i jeden felczer) i drugi na
stacyi Lubercy (jeden lekarz i jeden felczer).

O działalności oddziału i o rezultatach eks-
pedycyi jego naczelnik pułkownik Riman I ma
mi przedstawić szczegółowy raport.

Oryginał podpisał: Dowódca pułku

Fliegel-adjutant pułkownik Min.

Zgodnie z oryginałem:

pułkowy adjutant

podporucznik von Brümmer 165.

Rozkaz rozdany o 9-ej wieczorem.

Pułkownik Riman dokładnie wypełnił rozkaz i zgodnie z ogólnymi wskazówkami: **działać bez litości, nie mieć aresztowanych**—nikogo nie aresztował. On albo zabijał ludzi na miejscu, albo też zupełnie ich uwalniał. Starał się przytem nie pozostawiać nawet ranionych; gdy żyli jeszcze, dobił ich z rewolweru. — Chociaż w rozkazie tym jest mowa o utworzeniu dwóch posterunków lekarskich — jednego na stacyi Perowo, a drugiego na stacyi Lubercy, lecz oba te posterunki przeznaczone były dla rannych członków ekspedycyi, jeżeli takowi się okażą, a w żadnym razie nie były one przeznaczone dla ranionych obywateli.

Kiedy się okazało, że są ranni z miejscowej ludności, zostawieni przy życiu tylko przez omyłkę i niedopatrzenie tych, którzy rozstrzeliwali, jak to miało miejsce w Perowie, to ich opatrywali sanitariusze, przypadkowo znajdujący się w pociągach sanitarnych które, nadeszły z Dalekiego Wschodu do warsztatów perowskich. Zanosili ich do swoich wagonów, tam ich umieszczali i tam leczyli. Ani jeden z ranionych nie dostał się na posterunki lekarskie, urządzone z rozkazu pułkownika Mina. I byłoby bardzo ryzykownem leczyć się tam, gdzie znajdowali się ludzie tak okrutni i nieludzcy i gdzie rządzą się rozkazem: „nie mieć aresztowanych i działać bez litości“. Ani jeden paragraf naszych praw wojskowych nie dozwalał pułkownikowi Minowi

na udzielanie „ogólnych wskazówek“. Żadne prawo, w żadnych warunkach nie mogło się wyrazić w formie takiego zupełnego bezprawia i anarchii ze strony naczelników wojskowych, którzy działali z rozporządzenia rządu.

[Faint blue ink scribbles and illegible handwriting at the bottom of the page.]

ROZDZIAŁ II.

29 grudnia około godziny 11-ej rano ruszyła w pochód ekspedycja karna. Całe depo stacji Moskwa było nieczynne już od dni 9-ciu. Lokomotywy stały zamrożone w tym samym nieporządku, w jakim zastał je dzień 20 grudnia. W rurach parowych zamarzała woda. W cylindrach również skondensowana para zamieniła się na lód i lokomotywy nie mogły służyć do użytku dopóty, dopóki ich nie odgrzeją w ciepłym pomieszczeniu przy stopniowem i nadzwyczaj ostrożnem powiększaniu zewnętrznego ciepła. Poczem dopiero wymagały znacznego remontu, ponieważ po zamrażaniu większość rur cieknie i nie jest w stanie utrzymać parę.

Przygotowaniem lokomotyw i całego ruchomego składu zajął się z rozkazu pułkownika Rimana zarządzający batalionem kolejowym - porucznik Kostienko. Przygotowanie lokomotywy trwało nie mniej jak 8 godzin i za to porucznik Kostienko narażony został na groźbę rozstrzelania. Pułkownik żądał od niego, żeby lokomotywy były gotowe do użycia w ciągu godziny, nie przyjmował żadnych tłumaczeń i nazwał porucznika Kostienkę buntownikiem, działającym w porozumieniu z komitetem rewolucyjnym.

Nie pomagało ani tłumaczenie się Kostienki,

ani dostarczone dowody, że parowóz, jeżeli nie ma być silnie uszkodzony, można odegrać zaledwie w ciągu 5—6 godzin, że odtajać taki parowóz może tylko w ciepłym pomieszczeniu i t. d. i t. d. Pułkownik nie zgadzał się na żadne rozumowania i trzymał porucznika Kostienkę pod strachem, że go za opóźnienie w przygotowaniu ruchu i składu pociągu każe rozstrzelać.

Nakoniec dwa pociągi stanęły gotowe do drogi. Pierwszy składał się z lokomotywy, dwóch wagonów pasażerskich i jednego wagonu z naftą. W pociągu tym znajdował się cały personel batalionu kolejowego pod dowództwem porucznika Kostienki. Celem tego pociągu było iść naprzód bez wywiadywania się o drogę—przedostawać się bez obcej pomocy, zajmować stacje, przybory i aparaty sygnalizacyjne, zająć telegraf, telefon i tym sposobem przygotować drogę, aby po cichu mógł przyjechać straszny oddział Siemionowski, który podążał za nim w oddaleniu 15 minut drogi. Drugi pociąg składał się z 25 wagonów i 2-ch lokomotyw. W tym pociągu były kartaczone, armaty i cały oddział wojska. Zarówno jednym jak i drugim pociągiem kierowali żołnierze jako mechanicy, palacze i pomocnicy.

Zwykle pierwszy pociąg cicho podjeżdżał do stacji i spokojnie wysiadali jego pasażerowie, zapypywali dyżurnego, który był przy stacji o aparaty, obstawiali je swoimi żołnierzami i czekali przyjazdu drugiego pociągu.

* * *

Zanim opowiemy tragiczne momenty, które zaczęły się z chwilą zjawienia się oddziału Siemionowskiego na stacjach „Sortirówoczna ja i Perowo“

Moskiewsko-Kazańskiej kolei żelaznej i jej okolicach, musimy skreślić obraz tego, co działo się tam w ciągu 8 dni przed przybyciem oddziału. Z chwilą, gdy 20 grudnia ogłoszono ogólny strajk, ruch na kolei Moskiewsko-Kazańskiej ustał. Na obydwóch tych stacjach znajdowała się w danej chwili wielka ilość, bo około 1000 sztuk wagonów towarowych z pełnym ładunkiem.

Przed strajkiem jeszcze zorganizowała się w Perowie drużyna bojowa, uzbrojona w rewolwery. Należeli do niej po części miejscowi mieszkańcy, po części robotnicy warsztatów kolejowych.

Przed rozpoczęciem strajku bojowcy rozbroili miejscową władzę policyjną i żandarmów stacyjnych i dlatego postanowili własnymi siłami strzedz wagonów od możliwej grabieży.

Postawili swoją straż. Zorganizowali zmianę dyżurnych. Ustanowili odpowiedzialność za prawidłowe funkcyonowanie straży. Jednym słowem przedsięwzięli wszystkie możliwe środki, aby nie można było zarzucić proletaryatowi robotniczemu, że w dni zorganizowanego strajku ogólnego umożliwia grabież i rabunek cudzej własności.

Lecz oto pomimo woli bojowców zaszło coś całkiem niespodziewanego... Ludność okoliczna usłyszała o naładowanych wagonach i usunawszy bojowców, którzy nie zdążyli ich strzedz, zaczęła mienia strzelać i niszczyć wagony. Później zaczęły się szczyt...

skiewska administracja była bezczynna i nie przedsięwzięła żadnych środków, aby ją ukrócić.

Lecz oto 29 grudnia — już na 9-y dzień, około pierwszej godziny po południu na stację „Perowo“ przyjechał pociąg z żołnierzami pułku Siemionowskiego. W tym czasie rabunek towarów już się kończył i tylko przyjezdni włościanie z dalszych wsi i siół mniej wymagający wybierali resztki.

Jeszcze w wilię dnia tego wieczorem rozszła się wiadomość w Perowie, że z Moskwy przyjedzie wojsko dla ukarania ludności za samowolę i rabunek towarów.

Wszyscy z drżeniem oczekiwali kozaków, lecz oczekiwanie kary nawet pod wpływem wciąż wzrastającego strachu nie mogło bodaj chorej i wybujałej wyobraźni ukazywać tych obrazów i scen, na które później wypadło w rzeczywistości patrzeć, które później sążone było przeżyć.

Widocznie administracja postanowiła czynami swoimi przestraszyć ludność, steroryzować ją i raz na zawsze położyć koniec wyłamaniu się ludności z pod jej władzy. A zamiast tego osiągnęła wprost przeciwne rezultaty.

Żadna na świecie propaganda, żadna agitacja wśród głodnych i wyzutych ze wszystkiego ludzi nie osiągnęła takich rezultatów, jak te, które osiągnęła działalność oddziału pułku...
...ost byłem, gdy
...życie głę
...wniej

zjadliwością analizowała wszystko, co się działo wokoło i co się do tej chwili jeszcze dzieje.

Nie drogą abstrakcyi doszła do tego. Nie studyowanie książek i historii otworzyło jej oczy, lecz wprost po okrutnem wstrząśnieniu całego swego wewnętrznego jestestwa z bólem i przerażeniem w duszy przejrzała, stało się dla niej jasnem, co działacze biurokracyi nazywają „buntem“.

Syn jej, 19-letni chłopak, podczas naszej rozmowy wyśmiewając się, podkpiwał z niej:

— „Ot co się ze staruszką zrobiło! Dawniej, bywało, z pogrzebaczem rzucała się na człowieka, jeżeli po pijanemu jakieś ostrzejsze słowo się wyrwało, a teraz patrzcie no ją!!?“

Lecz staruszka nie dała się umitygować i nie zwracając uwagi na jego słowa, w dalszym ciągu otwierała przede mną swą chorą, zbolaną duszę.

A straszmem musiało być to wewnętrzne wstrząśnienie, kiedy widziała, jak w jednym mgnieniu oka, w ciągu jednej strasznej minuty rozstrzelano jej niewinnego syna. Tu, w jej oczach, w jej pokoju z zawieszonemi ikonami i portretem Cesarza z całą jego rodziną.

— „Usuń się, stara!“—krzyknął Riman i lewą ręką ją odsuwając, prawą strzelił w czoło jej ukochanego syna, który wcale nie był winien i nie rozumiał, dlaczego przykładają mu rewolwer do głowy. Nie drgnął, nie poruszył się nawet, żeby się obronić — tylko po chwili krwawy trup całym swoim ciężarem zwałił się na ziemię bez dźwięku, bez krzyku...

W tym momencie zrozumiała staruszka grozę rzeczywistości i w duszy jej utworzyła się przepaść...

Przy badaniu wypadków, które miały miejsce na tych dwóch stacyach, napotykałem wielkie trudności. Naprzód zabito bardzo wielu, przeszło stu ludzi i dlatego trzeba było wybadywać bardzo wielu świadków. Powtórne rozstrzelania trwały w ciągu 3-ch dni (nie tak, jak na pozostałych stacyach, gdzie krwawa rozprawa kończyła się już nieraz w kilka godzin). Po trzecie świadkowie byli rozrzućeni po różnych wsiach, znajdujących się na dość dużej odległości od siebie, a prócz tego bardzo przeszkadzała ochrona wojskowa, składająca się z żołnierzy 4-ej dywizji 16 Ładoskiego pułku, wskutek czego ludność, znajdująca się pod świeżem wrażeniem przeżytych okropności, podejrzliwie zachowywała się względem każdego nieznanego człowieka.

Badałem i zapisałem zeznania przeszło 25 ludzi, a materiał zebrany jest obfity i okropny z powodu tych krwawych zająć, z powodu braku przyczyn mordu i z powodu prostoty, z którą pozabawiano ludzi życia, z powodu tych strasznych mąk, które zadawano ludziom bez potrzeby, bez celu, jedynie dlatego, żeby męczyć. Z tego powodu zmuszony będę dłużej zatrzymać się na tych okrucieństwach, żeby o ile można najszczegółowiej wyjaśnić ten straszny rozlew krwi.

A był on tak strasznym, jak wielkimi były cierpienia i bóle umierających od ran kłutych, zadanych bagnętami—tak strasznym, że mimowolnie świadkowie tych okropności zwracali się do mnie z pytaniem: „Powiedz pan, wszak to nie może być, żeby to byli nasi żołnierze? Wszak nasi nie mogliby być dla nas tak okrutni, tak bezmyślnie okrutni dla nas, swoich rodzonych braci. Czyż nieprawda? Mówią, że to chyba byli cudzoziemcy, Finlandczycy tam

jacyś, albo katolicy. Tak niepodobni do naszych żołnierzyków!”

Gdy w obecności dziesięcioletniej Naści wystrzałem z rewolweru położono trupem jej brata, dziewczynka z przeraźliwym krzykiem rzuciła się ku matce.

— „Jacy oni źli — jakie złe oczy mają, mammo! oni nas zaraz zabiją!” · Potem wyprostowała się i blada, na cienkich prostych nóżkach podeszła do oficera i krzyknęła mu wprost w twarz: „Zabiliście Wanie, zabijcie i mnie!”

Ile tragizmu, ile okropności w tym dziecinnym krzyku! Teraz ona dopiero co wróciła ze szkoły, a kiedy zaczął z nią mówić o bracie, gorzko się rozplakała. Takie chwile w życiu dziecka nigdy nie zacierają się w pamięci.

* * *

W czasie, kiedy pociąg o jednej lokomotywie i dwóch wagonach pod dowództwem porucznika kolejowego batalionu Kostienki przybył na stację „Sortirowocznaja“, dyżurnym był oficyalista Ładnow.

W piętnaście minut potem bez sygnalizowania drogi przybył pociąg z żołnierzami pułku Siemionowskiego. Nie dojeżdżając do stacyi, żołnierze powyskakiwali i bez wszelkiego uprzedzenia dali ognia na prawo i na lewo wzdłuż zapasowego toru, gdzie znajdowało się dosyć ludzi.

Kto był w pobliżu — zapłacił życiem, inni wleźli pod wagony i chowali się między kołami.

W tym czasie oficer wyszedł na dworzec, spotkał dyżurnego Ładnowa i dowiedział się od niego, że w budynku stacyjnym nikogo niema.

Obejrząwszy i przekonawszy się, że tak jest

w istocie, kazał zrobić rewizję w kilku domach, znajdujących się w sąsiedztwie stacyi. Kiedy rewidujący chcieli wejść do mieszkania taksatora Woronina, znaleźli drzwi jego mieszkania zamknięte.

Z początku walili we drzwi, a potem kolbami zdjęli drzwi z zawias. W mieszkaniu zastali 60-letniego staruszka, ogromnie przestraszonego i zupełnie nierozumiejącego, co wokoło niego się dzieje. Był on głuchawy na obydwie uszy i nie słyszał stukania we drzwi, a kiedy drzwi zaczęto wysadzać, był przekonany, że to chuligani przyszli grabić jego dobytek. Wyjął rewolwer i czekał, co za rozbójnicy wywalają drzwi i wdzierają się do cudzego mieszkania.

Żyli oni sobie tylko we dwójkę ze staruszką żoną, która jeszcze w r. 1904 była umysłowo chora i kilka miesięcy leczyła się w Kazaniu. Później staruszka wyzdrowiała i ostatnie dwa lata mieszkała przy mężu na stacyi „Sortirowoczej“, gdzie on już od 10 lat służył.

Staruszka, również wcale nie rozumiejąc, co się wokoło niej dzieje, niespokojna przebiegała z kąta w kąt, szepejąc modlitwy.

Nakoniec drzwi zostały wywalone a na progu zjawił się oficer z żołnierzami. Staruszek, zobaczywszy ich, zdziwił się, zdetonował, a potem przeżegnał z radości, że obawa jego była płonna, położył rewolwer na stole i poszedł na spotkanie upragnionych gości. Nie zdążył jednak przejść kilku kroków, gdy oficer zakomenderował: „na bagnety!“

I tu na miejscu, w mieszkaniu jego krwawo się z nim rozprawili. Z czterech stron przekłuli bagnetami nieszczęśliwego starca, a oficer własnoręcznie okrutnem uderzeniem rozplątał mu czasz-

kę. Rozległ się tylko suchy trzask rozbitej czaszki i bezmyślny jęk pozbawionej zmysłów kobiety, która w jednej chwili, w jednej okrutnej chwili znów zwaryowała.

Lecz żołnierze nie zatrzymali się, skierowali bagnety w piersi obłąkanej i gotowi byli ostrza w ciele jej utopić; ale ujrawszy bezmyślne, straszne oczy utkwione w siebie, bezmyślny spokój nieszczęsnej, zatrzymali się, przekłuwszy tylko jej ubranie.

Teraz umieszczono ją w szpitalu św. Pantelejmona na stacyi „Udzielnej“ w pobliżu Petersburga.

Na stacyi „Sortirowocznaja“ przebył główny oddział zaledwie 40 minut, poczem ruszył dalej, zostawiwszy tutaj pod dowództwem oficera pół rotę żołnierzy, którzy w dalszym ciągu cały dzień strzelali w dół toru zapasowego.

Następnego rana około stacyi Sortirowocznej oficyaliści kolejowi przy pomocy żołnierzy zebrali 8 trupów. Trupy te żołnierze pociągiem towarowym odesłali na stację Moskwa, nie zarządziwszy nic, aby można było sprawdzić osobistości zabitych.

Dziewiątym był trup Woronina.

Oprócz tego krewni zabitych w ciągu nocy pozbiierali i uwieźli 25 trupów.

Ogółem zabito tutaj 34 ludzi.

Żołnierze pozostali na tej stacyi w ciągu dni 10-ciu i przez cały czas obchodzili się z oficyalistami kolei impertynencko i ostro.

Dwa charakterystyczne opowiadania usłyszeli dyżurujący tam ludzie, a mianowicie jeden żołnierz opowiadał drugiemu, jak szły dwie baby polem na lewo od toru zapasowego i gdy na nie krzyknął: „będę strzelał!“ — na złamanie karku za-

częły biedz; potykały się, ślizgały na nierównej drodze, śmiesznie machając rękoma. Żołnierz wziął je na cel—wyszturzył— „jedna fiknęła koziołka“, a druga uciekła.

Mówił mi to jeden z tych, którzy słyszeli opowiadanie. Przytaczam je dla pokazania, jaką była atmosfera, którą ekspedycja karna otaczała ludność miejscową.

Pierwszy dzień pobytu oddziału na stacyi „Sortirowocznaja“ tak okropnie podzielał na dyżurnego stacyi p. Ładnowa, że dostał gorączki i ciężko zachorował. Nazajutrz nie mógł się podźwignąć z łóżka i posłał zawiadomienie o swojej chorobie na stacyę, prosząc, żeby naznaczono kogoś innego na jego miejsce. W odpowiedzi na to przyszedł rozkaz oficera, żeby przyszedł i dyżurował na stacyi, w przeciwnym razie zaaresztują go i postąpią z nim tak, jak widział, że postępowano z innymi.

Nie pozostało mu nic innego, jak wstać i dyżurować pomimo choroby.

R O Z D Z I A Ł III.

Na półtorej wiorsty przed stacją Perowo na torze zapasowym napotkał pociąg z żołnierzami dużą ilość włościan, którzy zabierali pozostałe z rabunku towary. Nie śpiesząc się, systematycznie i sprawnie wybierali te przedmioty, które im były najbardziej na razie niezbędne. Dlatego też nie zwrócili zupełnie uwagi na nadjeżdżający pociąg. Wprawdzie mieszkańcy Perowa uprzedzili ich, że jeszcze przed wieczorem spodziewają się kozaków, lecz oni nie wierzyli, nie mogli zrozumieć, po co by ich miano przysyłać? Po co teraz są potrzebni kozacy, kiedy wcześniej, z początku grabieży nie przysłano nikogo i dopuszczono do tego. że wszystko rozchwymano, a teraz z towarów prawie śladu nie pozostało! W naiwności swojej przyszli do przekonania, że tutejsi naumyślnie wymyślili coś takiego, żeby ich przestraszyć, żeby z nich sobie zadzwic, z nich, którzy o 100 wiorst przywlekli się na wozach ciągnionych przez wychudłe kobyły.

Lecz spokój ich został wkrótce rozwiany salwami z okien wolno jeżdżącego pociągu, od których padły ich klacze i z krzykiem i jękiem zwalili się na śnieg ranni ludzie.

Zaczęła się okrutna strzelanina. Żołnierze zeskoczyli z wagonów, rozsypali się po torach zapasowych i strzelali do uciekających wzdłuż to-

rów. Druga część chłopów rzuciła się w lewo ku polanie, wyteżając wszystkie siły, aby dostać się do lasu, otaczającego polanę.

Lecz źle się obliczyli. Kule ich doścignęły i dużo ludzi padło na tej polanie a tylko niewielu dostało się do lasu i uniknęło w ten sposób śmierci.

Trudno powiedzieć, ilu było zabitych na tej polance i na torach zapasowych. Dokładnych wiadomości niema i wątpliwem jest, czy uda się je kiedykolwiek otrzymać, gdyż większość zabitych pochodziła z dalszych wsi i nie była znana ludności miejscowej.

Według zeznań stróża M., trupy wszystkich zabitych żołnierze zebrali i złożyli do 2-ch wagonów, a potem wieczorem wyprawili pociągiem w kierunku Moskwy. Według niego było 53-57 zabitych.

Świadek pani K. słyszała z kilku źródeł, że zabitych było więcej niż 50 ludzi. Postaram się dokładniej wyświetlić tą cyfrę, tembardziej, że badania moje w tym kierunku nie są jeszcze zakończone ze względu na trudności szukania świadków.

W związku z tą kwestyą opowiem interesujący wypadek, który miał ze mną miejsce.

Koniecznym był mi potrzebny świadek K., starsuszek, który straszne rzeczy widział przedtem, zanim się na niego żołnierze rzucili i bagnetami zadali ciężkie rany. Przypuszczając, że jest zabity, żołnierze porzucili go na śniegu i odeszli. Ktoś go podniósł i jakąś drogą udało się go wyprawić do szpitala Basmannego. Tam wyzdrowiał i niedawno opuścił szpital. Teraz mieszka w Perowie. Trzy razy przychodziłem do niego, lecz za każdym razem zadawał mi cały szereg podejrziwych zapytań:

„A tobie, ojcze, na co te wiadomości są potrzebne? przecież on był zupełnie niewinien!“

Tłumaczyłem cel mego przybycia i konieczność widzenia się z nim osobiście. Za każdym razem otrzymywałem wymijającą odpowiedź, że on tylko co pojechał do Moskwy, że on stale mieszka w Moskwie. Gdy zaś zapytałem o adres moskiewski, to okazało się, że go w Moskwie niema, ponieważ on mieszka w Perowie. Byłem zdziwiony takim niedowierzaniem i kiedy postarałem się wyjaśnić przyczynę, dlaczego ten człowiek ukrywa się przed, mną, to okazało się, że się boi, że go teraz dobiją, ponieważ wtedy go bili, ale nie dobili, i że ja go poszukuję w tym celu, żeby go dobić, t. j. poprawić omyłkę, ponieważ on tylko przez omyłkę i niedbalstwo żołnierzy pozostał przy życiu. Starzec ten tak strasznie się boi, że dotychczas nie udało mi się go odszukać.

Strach taki ma do pewnego stopnia swoje rzeczywiste uzasadnienie. Żołnierze, strzelając do uciekających ludzi czasami z odległości kilkuset sążni, nie zabijali ich na śmierć, a tylko ranili i wijących się z bólu pozostawiali na śniegu.

Wprawdzie z oddziałem wojska przyjechał ich własny ambulans Czerwonego Krzyża z lekarzem wojskowym, lecz ambulans ten przeznaczony był dla ich własnych rannych, ponieważ naczelnicy przypuszczali zbrojny opór ze strony drużyny bojowej. Trzeba zaznaczyć, że ich przypuszczanie się nie sprawdziło i że nie tylko żaden z żołnierzy nie został ranny, lecz nawet do nich nie dano ani jednego strzału.

Wszystkich rannych zabierał i u siebie umieszczał sanitarny oddział pociągów z Dalekiego Wschodu, który tu przybył do warsztatów ko-

lejowych do naprawy. Prócz tego niektórych rannych odniesiono do miejscowego szpitala. I otóż z tego szpitala wieczorem 29 grudnia żołnierze zabrali 3-ch ciężko rannych, ze słabymi oznakami życia. Dlaczego, po co i dokąd ich wzięto—nie wiadomo. Co się z nimi potem stało, także nie wiadomo! Stwierdzam tylko z całą pewnością to, że ranni byli tak zeszpeceni, iż nie można ich było poznać i że tych rannych z oznakami jeszcze życia w liczbie 3-ch żołnierze wynieśli z miejscowego, perowskiego szpitala.

W każdym razie świadek K., któremu mam poważne podstawy wierzyć, słyszał wprost ze źródeł urzędowych, że z rozkazu pułkownika 3-ch rannych zabrano ze szpitala, ponieważ „nie tam było dla tych ludzi miejsce“.

Uporczywie krąży wśród ludności miejscowej straszna pogłoska o rannych, umieszczonych w pociągach sanitarnych. Pogłoska ta pochodzi od chorych, którzy wyzdrowieli i którzy na własne uszy to słyszeli. Do pociągu sanitarnego przyszedł Riman i kazał sobie wydać tych bojowców, którzy jeszcze żyją. Dowódca pociągu sanitarnego w randze pułkownika powiedział, że tego nie zrobi i że pociągi sanitarne nie na to istnieją, żeby w nich rozstrzeliwać rannych, i że służą one właśnie jako schronienie dla rannych, przyznane przez wszystkie kodeksy prawne we wszystkich państwach.

I Riman nie nie wskórał.

Trzeba wierzyć, że ta pogłoska jest prawdziwą, gdyż świadkowie słyszeli ją od samych rannych, którzy się leczyli w pociągu sanitarnym. Chciałem ją jeszcze sprawdzić przez sanitaryuszów, ale okazało się, niestety, że pociągi pojechały na

Wschód i żaden z sanitaryuszów nie pozostał na miejscu.

Ta straszna pogłoska, wzbudzająca przerażenie wśród całej ludności, wyraźnie świadczy o okrucieństwie naczelnika. Być może, że dlatego nazwano tu pułkownika Rimana „księciem finlandzikiem“, zaznaczając przez to, że nie jest Rosyaninem. Ludność rosyjska nie mogła dopuścić nawet myśli, aby rodowity Rosyanin mógł być tak okrutnym dla swoich rodzonych braci.

Po zajęciu torów zapasowych, po rozpędzeniu, wymordowaniu i ranieniu tych, którzy znajdowali się na miejscu, druga część oddziału pod dowództwem Rimana udała się na stację.

Na peronie nikogo już nie było. Ustawwszy w rząd żołnierzy na peronie, pułkownik zawołał: „Kto jest na stacyi, niech wyjdzie!“ Wyszedł stacyjny podoficer żandarmski Podgorny. „Czy jest ktokolwiek na stacyi?“ Rzeczywiście okazało się, że w sali 1-ej klasy znajdowało się wiele bab. Były to przeważnie żony żandarmów stacyjnych i oficjalistów kolejowych. Zebrały się tam od samego rana głównie dlatego, że zawiadowca stacyi Frołow jeszcze poprzedniego wieczora uprzedził, że przyjedzie władza moskiewska robić porządek. Pułkownik rozkazał żołnierzom rozpędzić baby i nikogo na stację nie puszczać.

W tym czasie był na stacyi zajęty spełnianiem obowiązków służbowych podoficer Podgorny. Kiedy żołnierze oczyścili peron, poszedł on do siebie do domu i powiedział żonie, że przyjechał pułkownik Riman. Po niejakiem czasie przyszedł do niego na rewizję ten sam Riman, którego widział na stacyi.

Obejrzawszy mieszkanie, pułkownik zobaczył na ścianie szablę i rewolwer.

— „Niech ten, do kogo należy ta broń, wyjdzie na środek pokoju!“ — krzyknął Riman.

Blady z przerażenia wyszedł gospodarz mieszkania, żandarm stacyjny Podgorny, i zaczął przekonywać Rimana, że jest zupełnie niewinnym, a broń ma dlatego, że jest żandarmem.

— „Wszyscy wy, szubrawcy, gotowicie nazwać się żandarmami, byle wykręcić się od śmierci! W jaki sposób możesz dowieść, nie wychodząc z tego pokoju, że jesteś żandarmem?“

Podgorny wyciągnął swoje ubranie i przekonany był, że takim niezaprzeczonem rzeczowym dowodem już rozproszy wszelkie wątpliwości. Lecz dla pułkownika Rimana dowód ten nie był jeszcze dość przekonujący i nieszczęśliwemu żandarmowi groziła śmierć. Na szczęście żona jego odnalazła bilet wolnej jazdy z fotografią.

W ten sposób został ocalony!

Lecz zdawało się, że i to ocalenie było jeszcze złudnem, gdyż Riman głośno krzyknął na niego: „Ubieraj się, gałganie, w mundur i marsz na stacyę!“ . Rozkazy „marsz do domu“, „marsz na stacyę“ w pojęciach miejscowej ludności równały się: „przygotuj się na śmierć“.

Wiele niestety razy przekonywali się mieszkańcy, że rozkaz „biegnij do domu“ nie oznaczał nic innego, jak przyzwyczajenie dobrego myśliwego, który nigdy nie strzela do ptaka spokojnie siedzącego na gałęzi. On go najpierw spłoszy, a potem dopiero strzela w locie. Podobnie i tutaj: schwyciwszy swą ofiarę, kierownik „uspokojenia“ łaskawie wypuszcza ją na wolność, rozkazując: „Biegnij do domu, ale prędko“ — patrzy, jak ten na skrzy-

dłach szczęścia pędzi jak najdalej od złowrogiego miejsca, a wtem... rozlega się salwa bez komendy, bez słów i nieszczęsny pada na śnieg. Opowiadają o pewnym sprytnym żołnierzyku Konowałowie, którego zatrzymano razem z 2-ma robotnikami na ulicy, zrewidowano ich i, gdy nic nie znaleziono, zawołano: „biegnijcie do domu, a żywo, nie oglądając się!”

Puścili się cwałem.

Żołnierzyk, zrozumiałwszy, że teraz potrzeba całej przytomności umysłu i że życie jego w tej chwili zależy tylko od niego samego, zaczął biedz, jak tropione zwierzę... Biegł zygzakami, odskakując na prawo i na lewo; kiedy padał ze zmęczenia, rzucał się do rowu, w śnieg, a potem znów biegł..

Strzelano do niego tak, jak strzelają myśliwi do dzikiego wilka zapędzonego w ogrodzenie. Wokoło niego świszczały kule, nie robiąc mu krzywdy. I zwierz uszedł... Konowałowa zraniono tylko w rękę, lecz został przy życiu, a obadwaj jego towarzysze od razu padli, brocząc krwią przy pierwszej salwie. Zabito ich.

Starszy pomocnik zawiadowcy stacyi Orłowski był na peronie w chwili, kiedy przyjechał oddział pułku Siemionowskiego. Jeszcze poprzedniego dnia słyszał od swego bezpośredniego naczelnika Frołowa, że przyjedzie władza w celu przywrócenia na linii porządku.

Spodziewano się kozaków.

Kiedy Orłowski ujrzał, że wszystkich rozpędzono z peronu, że żołnierze groźnie zachowują się względem otaczających, że nietylko aparat telegraficzny i przyrządy sygnalizacyjne, lecz i cały dyżur stacyjny przeszedł w ręce bata-

lionu kolejowego, poszedł jako zbyt cenny, do domu, aby uspokoić żonę co do swego losu. Przyszedłszy do domu, opowiedział żonie, jak szorstko i okrutnie obchodzą się z publicznością przybyli żołnierze, nie kozacy, których wszyscy się spodziewali, lecz zupełnie inni, petersburscy żołnierze. Posiedział z kwadrans czasu i udał się na stację. Więcej już do domu nie wrócił. Były to ostatnie 15 minut, które poświęcił swojej żonie, nie przypuszczając nawet tego, że są ostatnie. Nieszczęśliwa wdowa dopiero na drugi dzień otrzymała okaleczone i oszpecone zwłoki swego męża.

Był on tak oszpecony, że tylko po ubraniu można go było poznać. Cała twarz była pokłuta bagnietami, Oczodoły przebite do samego mózgu. Podbródek, policzki, nos stanowiły jedną krwawą maskę.

— „Tylko usta zostały nienaruszone“ — powiedziała wdowa, młoda ładna kobieta, znajdująca się w ostatnim okresie ciąży. Ileż musiała przeżyć w ciągu tej chwili, kiedy robotnicy z remontu przynieśli jej zmasakrowane ciało zamiast ukochanego, wczoraj jeszcze żyjącego męża. Z drżeniem w głosie zwróciła się do mnie, kiedym z nią rozmawiał: „Powiedz pan, dlaczego „oni“ tak go oszpecili? Niechby go zabili, jeśli im to potrzebne! Pozbawiliby życia człowieka i kwita; lecz po co takie znęcanie się? Dlaczego tak sponiewierali jego ciało? Co to — złość czy zemstę na niem chcieli w ten sposób wyrzucić? Jakież to straszne! Nie znajduję wprost słów, żeby panu powiedzieć, com ja przez ten czas przeżyła!“

Opowiadają, że kiedy Orłowski zbliżał się do stacyi i już wchodził na najwyższe stopnie schodów, pułkownik kazał go rozstrzelać. Kilka kul

trafiło w niego, upadł jeszcze żywy, reszty dokonały bagnety. Potem zanesiono go do wagonu i dopiero nazajutrz rano udało się ofycyalistom wespół z robotnikami z remontu dostarczyć zwłoki owdowiałej Orłowskiej.

Załatwiwszy się z Orłowskim, pułkownik Riman spotkał na peronie drugiego pomocnika zawiadowcy stacyi Łaryonowa, który miał dyżur na stacyi. Łaryonow wracał z toru zapasowego, odprowadziwszy właśnie pociąg, który przywiózł żołnierzy pułku Siemionowskiego. Riman, ujrawszy go w mundurze, zapytał:

— „Czy pan jesteś Łaryonowem, pomocnikiem zawiadowcy stacyi?“

— „Tak“.

— „Pójdź pan ze mną do gabinetu“.

W kilka minut potem wyszli stamtąd, i pułkownik głośno rzekł do niego:

— „Chodź pan za mną!“

Kilka kroków od miejsca, gdzie przy schodkach stało czterech żołnierzy, rozległ się groźny rozkaz:

— „Wziąć go na bagnety!“

Pierwsze uderzenie bagnetu było wymierzone w kość pacierzową. Łaryonow upadł w strasznych męczarniach. Zaczął krzyczeć, błagać o litość i miłosierdzie. Posypały się na niego razy bagnetów. Dały się słyszeć rozpaczliwe jęki, rozlegające się po całej okolicy. Świadek pani O. opowiadała, że była daleko od stacyi, a mimo to słyszała rozdzierający duszę krzyk Łaryonowa, przesywanego bagnetami. Nakoniec ząkluli go na śmierć, a oficer dla uspokojenia swego sumienia, żeby ofiary przypadkiem nie pozostawić przy życiu, strzelił mu w skroń. Łaskę, o którą tak długo błagał

nieszczęsny Łaryonow, żeby ostatnim wystrzałem skrócono jego męki, otrzymał dopiero po śmierci.

Następnie pułkownik Riman udał się z żołnierzami w jedną stronę Perowa, a kapitan Zykow w drugą.

W pewnem prywatnem mieszkaniu udało mi się odszukać świadka N. i dowiedzieć się, w jakich okolicznościach zostali zabici dwaj jego synowie. Surowy ten starzec zrobił na mnie silne i głębokie wrażenie swoją powagą, taktem, zwiększającą mowy i tem bezbrzeżnem, rozpaczliwym cierpieniem, które czuć było w każdym jego surowem słowie.

Szczegóły zabójstwa jego synów istotnie są wstrząsające.

Do mieszkania jego przyszedł na rewizyę pułkownik Riman; cała rodzina była wtedy w domu; obydwaj synowie byli również obecni; jeden miał lat 20, drugi 22. Pracowali jako tokarze w warsztatach kolejowych. Pułkownik, nie znalazłszy nic podejrzanego, zapytał ich — co są za jedni, gdzie pracują, i zadowolony się ich odpowiedziami, odszedł spokojnie.

Młodzieńcy pozostali jeszcze jakiś czas w domu, a potem wyszli przejść się i zagrać w bilard. Na ulicy przyłączyło się do nich jeszcze dwóch przyjaciół i podążyli we czwórkę.

Kiedy doszli do przejazdu przez tor kolejowy, żołnierze zatrzymali ich i zrewidowali. Nic nie znalazłszy, chcieli już ich puścić, gdy jeden z żołnierzy ozwał się:

— „Chłopcy, przecież to strajkujący! na bagnety ich!”

I rzeczywiście w mgnieniu oka żołnierze rzucili się na nich i zaczęli ich kłuć bagnetami; tam-

ci dwaj przyjaciele rzucili się do ucieczki, lecz padli od kul żołnierskich, a obydwaj bracia polegli na miejscu na brzegu drogi. Jeden został zakłuty bagnetami, a drugi otrzymał śmiertelne rany w brzuch od kul i od bagnetów.

Nic nie wiedząc, co się stało, staruszek wyszedł sobie zobaczyć, co się wogóle dzieje, a gdy doszedł do przejazdu, ujrzał na brzegu drogi leżących obydwóch synów.

Ten, który był raniony kulą w brzuch, żył jeszcze; drugi już był martwy. Rodzony ojciec własnym oczom nie wierzył... Byłże to istotnie jego syn? Ani jednego zęba nie miał w ustach. Oczy, nos, kość nosowa — wszystko było poszarpane i zmiażdżone bagnetami. Ranionego syna podnieśli z ziemi sanitaryusze pociągów mandżurskich i ułożyli w wagonie sanitarnym, gdzie około północy umarł w strasznych męczarniach. Gdy trup drugiego syna został przyniesiony do domu, rodzice, zdejmując z niego palto, zobaczyli przymarzniętych do ubrania kilka zębów, które wypadły z ust pod okrutnymi uderzeniami bagnetów.

— „Ja sam jestem żołnierzem — mówi starzec — służyłem Cesarzowi wiernie i z oddaniem i przygotowywałem do służby cesarskiej czterech synów. Lecz oto nasi żołnierze zabili mi dwóch... I w jaki jeszcze sposób: znęcali się, męczyli, przesywali bagnetami. Ciała ich oszpecili tak, że poznać nie można. Dlaczego zabili, za co, dlaczego znęcali się nad nimi? Ja sam jestem żołnierzem! — starzec wyprostował się i wzrokiem surowym spojrzął wokół — lecz tego pojąć nie mogę; w przepisach wojskowych niema o tem wzmianki. Pójdę do samego Cesarza, pójdę i zapytam go, za co zabili moich synów? A jeżeli dowiem się

od niego, że z jego rozkazu zabili ich jego żołnierze, to nie dam mu dwóch pozostałych synów, których wychowuję. Raczej zabiję ich własnymi rękami, a nie dam Cesarzowi na służbę, żeby nie zrobił z nich katów“.

O godzinie trzeciej po południu dróżnik Drożyn zwrócił się do żony, prosząc, by go zastąpiła i poszła na drogę Siemionowską wykonać czynności służbowe.

— „Strach mi jakoś, idź sam“—odpowiedziała staruszka.

— „Dobrze, wypiję herbatę i pójdę, zdążę jeszcze“—zgodził się dróżnik i, napiwszy się herbaty, poszedł.

Nie zdążył dojść do swego udziału, gdy upadł ugodzony celnym strzałem w brzuch; potem żołnierze rzucili się na niego i zaczęli go kłuć bagnetami. Najbardziej ucierpiał brzuch, tak że kiszki wypadły i przymarzły do odzienia. Żołnierze, myśląc, że go zabili, poszli dalej. Ale nieszczęsny Drożyn żył i przeleżał na mrozie 4 godziny z rozprutym brzuchem. O 7-ej zabrali go sanitarysze i odnieśli do wagonu: dopiero o pierwszej po północy umarł na ich rękach, już po zszyciu kiszek i brzucha. Nazajutrz staruszka otrzymała jego zwłoki i sama je pochowała.

Opowiadając mi historię zabójstwa męża, jak gdyby dla uwydatnienia kontrastu z łagodnym obejściem się żołnierzy z jej nieboszczykiem, powtórzyła mi to, co widziała z okna swego mieszkania, położonego w pobliżu toru kolejowego.

— „Z moim mężem, chwała Bogu, jeszcze się litościwie obeszli! Pokłuli bagnetami, no i dali pokój; ale tutaj niedaleko od moich okien szło dwóch

ludzi; strzelili do nich, oni upadli; żołnierze rzucili się na nich i jak nie zaczęą kłuć bagnietami! Kłuli, kłuli... potem porzucili — widzą, że idzie jeszcze dwóch: zabrali się i do nich. Wołam: Boże, Boże, cóż to się dzieje? Zabili ich. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że z moim tak samo się rozprawili. Nie odchodzę od okna, tylko wciąż patrzę. Żołnierze niedaleko od drogi stanęli w szeregu. Jest z nimi i oficer. Wtem widzę, że jeden z czterech leżących na śniegu poruszył się; pewno jęknął jeszcze, bo żołnierz ocknął się i podszedł do niego: dotknął się ubrania — widzi, że rusza się jeszcze, więc znowu zaczyna go kłuć bagnietem; kłuł, kłuł—zdawało się, że już na śmierć zakłuł, i odszedł na bok. Nie przeszło i 20 minut, a ten znów się poruszył, jął kręcić głową—dziw, jaka rogata w nim dusza była — żołnierz rozgniewany znowu podszedł do niego i bagnietem go dokłuł; a potem nawet sam oficer zbliżył się i wystrzelił mu w głowę. Pewno na Dalekim Wschodzie nawet tak nie bywało...” — dodała Drożynowa, kończąc swoje proste a pełne grozy opowiadanie.

Zrobiło mi się strasznie po tem opowiadaniu. Proste słowa kobiety podziały przygnębiająco nie tylko na mnie, ale na wszystkich obecnych.

Spis zabitych w Perowie, którzy byli wciąż do ksiąg parafialnych i zanotowani w nich jako „zabici“.

(Całkowitego spisu dostać niepodobna.)

1. Jeszukow, kotlarz z warsztatów kolejowych.

2. Abram Bautin, lat 29.

3. Sergiusz Korszunow, lat 36, ślusarz z warsztatów kolejowych.
4. Wawrzyniec Korotkow, lat 20, stolarz z warsztatów kolejowych.
5. Iwan Alfimow, lat 22.
6. Kuźma Mołostow, lat 22, tokarz z warsztatów kolejowych.
7. Wasyl Mołostow, lat 20, tokarz z warsztatów kolejowych.
8. Gabryel Drożdżyn, lat 50, dróżnik, zabity podczas czynności służbowej.
9. Iwan Owodow, lat 25, ślusarz z warsztatów kolejowych.
10. Paweł Szkarin, lat 34.
11. Sergiusz Pachomow, lat 28, kowal z warsztatów kolejowych.
12. Iwan Czukancew, lat 27.
13. Ciało nie rozpoznane, mężczyzna lat 22.
14. Ciało nie rozpoznane, mężczyzna lat 20.
15. Sergiusz Orłowski, lat 32, pomocnik zaawidowcy stacyi.
16. Aleksy Łaryonow, lat 29, pomocnik zaawidowcy stacyi.

W gazecie „Russkoje Słowo“ była wydrukowana zupełnie nieprawdziwa wiadomość, że pomocnik naczelnika stacyi w Perowie p. Łaryonow już od 20 grudnia był uwolniony ze służby i pełnił swoje obowiązki tylko z polecenia komitetu strajkowego. Łaryonow o żadnem uwolnieniu nie wiedział i w chwili przybycia oddziału pułkownika Rimana był dyżurnym na stacyi. O przyjeździe żołnierzy wszyscy byli uprzedzeni i z polecenia dyżurnego na stacyi Łaryonowa kolega jego

Bietoszkina przygotował drogę dla pociągu, którym mieli przyjechać.

Na godzinę przed przybyciem wojska Łaryonow z żoną znajdował się na stacyi. Ubrany był wtedy po cywilnemu i tylko idąc za radą zawiadowcy stacyi Frołowa, ubrał się w szynel i czapkę mundurową. Żona, wiedząc, że mąż jest zupełnie niewinny, spokojnie się z nim pożegnała i odeszła ze stacyi, umówiwszy się z nim poprzednio, że o 4-ej przyjdzie po niego, żeby razem iść na obiad. Oddaliła się o półtorej wiorsty od Perowa, nie słyszała przedśmiertnych krzyków swego męża i nic nie wiedziała, co się stało. Gdy o umówionej godzinie wróciła na stację, znalazła już tylko zimne zwłoki, leżące na peronie około schodków.

Śmierć jego już opisaliśmy.

Gdy o godzinie 4-ej podchodziła do stacyi, żołnierze ją zatrzymali i nie przepuścili; rozkazali, by podniosła ręce do góry, i zrewidowali ją.

Kiedy powiedziała, że idzie do swego męża, który ma dyżur na stacyi, nie wiadomo dlaczego ją przepuścili. Tam zastała zawiadowcę stacyi Frołowa, rozmawiającego z kapitanem Zykowem, któremu oddana była w zawiadywanie stacya.

Podeszła do Frołowa i zapytała, gdzie znajduje się jej mąż. Frołow odpowiedział: „Nie wiem“. Odpowiedź ta bardzo zdziwiła p. Łaryonową, ponieważ zawiadowca stacyi powinien zawsze wiedzieć, gdzie znajduje się dyżurny. Z tem samym zapytaniem zwróciła się do stacyjnego żandarma Podgornego i otrzymała taką samą odpowiedź.

Wtedy poszła w stronę peronu, ale żandarmowi Podgornemu zrobiło się jej żal i poradził jej, żeby nie szła na peron, lecz naokoło. Tak też

zrobiła. Oddaliwszy się kilkadziesiąt sążni od stacyi, natknęła się na ulicy na trupa włościanina, który niedawno przyjechał z pobliskiej wsi. Kiedy z przerażeniem stanęła nad tym trupem, podbiegł do niej Kazakow, chłopiec służący na stacyi. i rzekł: „Pani była na stacyi? Powiadają, że tam zabili jakiegoś pomocnika; czy to nie męża pani?”

Nie wiadomo dlaczego, od razu przyszło jej na myśl, że to właśnie jej męża zabito i, jak szalona, zaczęła biedz w stronę stacyi; czterech żołnierzy skrzyżowało przed nią bagnety i byłiby ją napewno zabili, gdyby się jeden z nich za nią nie ujął: „To pewno waryatka, nie warto!”

Tego dnia, pomimo próśb i przekładani, nie mogła dostać się do zwłok męża; na klęczkach niemal błagała żołnierzy, by ją puścili na peron. Nie puścili.

Nazajutrz rano udało jej się, jako żonie oficjalisty, wejść na stacyę. Zobaczyła się z kapitanem Zykowem i uprosiła go, żeby pozwolił jej odszukać zwłoki męża i zabrać je ze sobą.

Kapitan okazał się grzecznym i pełnym galanteryi i zrobił dobre wrażenie na złamanej nieszczęściem kobiecie.

Skrwawione zwłoki męża znalazła na tem samym miejscu, gdzie padł zabity. Na ciele było siedem ran kłutych, zadanych bagnetami, jedna rana od kuli rewolwerowej, która przeszła nieszczęsnemu pierś na wylot, i jedna w skroni. Ostatnia rana pochodziła od strzału samego Rimana, który strzelił do Łaryonowa już po jego śmierci.

Przy pomocy robotników wdowa zaniósła zwłoki męża do pociągu towarowego na torze 10-ym, gdzie spoczywały już szczątki dwóch braci Moło-

stowych i drugiego pomocnika zawiadowcy stacyi Orłowskiego, którego twarz była tak strasznie oszpecona i tworzyła taką okropną maskę, że biedna kobieta na ten widok zemdląła. Męża pochowała sama na trzeci dzień; modlitwy odśpiewał nad nim duchowny Kazański.

Mąż jej miał lat 29, przesłużył na kolei Moskiewsko-Kazańskiej 13 lat. Pozostawił po sobie starego ojca, matkę i dwie siostry, których utrzymywał.

W strajku politycznym nie brał żadnego udziału; do komitetu nie należał. Był tylko deputatem do spraw ekonomicznych od oficyalistów kolei Moskiewsko-Kazańskiej, wybranym dopiero wówczas, gdy dyrektor tej kolei zaproponował podwładnym, żeby odbyli naradę nad poprawą swego bytu. Według słów żandarma, Łaryonow został zabity dlatego, że figurował w spisie Rimana. Długi czas potem jeszcze krwawa plama czerwieniła się na peronie w tem miejscu, gdzie go zadźgano bagnetami. Wielka kałuża krwi przymarzła do podłogi i trzeba było zmywać ją gorącą wodą i zacierać piaskiem.

Dalszy przebieg działań, które miały „uspokoić“ mieszkańców Perowa, posuwał się naprzód z przerażającą szybkością, przybierając najróżnorodniejsze formy.

We wszystkich domach robiono ogólne rewizye. Niektóre domy rewidowano 3—4 razy. Zachowanie się wojska było szorstkie i grubiańskie; traktowało ono mieszkańców w sposób oburzająco wyzywający. W niektórych mieszkaniach rozwalano piece, przewracano szafy i kredensy. Przy rewidowaniu szuflad i kufrów posługiwano się bagnetami. Żołnierz podnosił na bagnecie odzież

lub bieliznę, leżącą w kufrze, i wyrzucał na środek pokoju, wywołując takim postępowaniem rozdrażnienie.

Podczas jednej z takich rewizji w mieszkaniu rodziny Owodowych, gdy od uderzenia kolbą wyleciały z zawias drzwi od komórki i cała odzież wraz z bielizną została porzrzucana bagnetami po podłodze, starszy syn właścicielki mieszkania, Iwan Owodow, nie mogąc już zapanować nad sobą, rzekł:

— Panie naczelniku, przyszedłeś tu do nas rewidować, a nie grabić, może więc pan będzie łaskaw obchodzić się z rzeczami delikatniej.

Jak utrzymywała stara jego matka, dlatego odważył się na takie powiedzenie, że przedtem podpił sobie nieco.

W mieszkaniu znaleziono 4 topory, skradzione, jak się okazało, z wagonów i dwa worki ze śrutem.

Rozgniewany tem oficer począł grozić rewolwerem, który trzymał w ręce. Gdy zaś jeszcze znaleźli zepsuty rewolwer, zapytał gniewnie:

— Czyj?

— Mój—odpowiedział Iwan Owodow.

— Na bok, stara!—krzyknął wówczas Riman i wystrzałem z rewolweru położył Owodowa trupem.

Według zeznań Owodowej, szukano tylko broni, nie zaś kradzionych rzeczy, które, o ile się przypadkiem u kogokolwiek znalazły, pozostawiano na miejscu, jak gdyby urzędownie stwierdzając prawo nowych właścicieli do cudzej własności.

A oto szczegóły śmierci Jeszukowa. Przyszli do jego mieszkania żołnierze, by zrobić rewizyę, i zaczęli go drażnić swem szorstkiem, bezwzględ-

nem postępowaniem. Mimo to starał się panować nad sobą i znosił wszystko w milczeniu. Lecz gdy wszystkie jego rzeczy i cały dobytek poleciały w rozmaite strony, gdy pościel i poduszki znalazły się na podłodze, wraz z cennymi rzeczami, przechowywanymi w kufrach, wówczas uczynił jakąś uwagę, a usłyszawszy w odpowiedzi ordynarne wymysły żołnierzy, zaczął się z nimi sprzeczać. Oficer kilka razy nakazał mu „milczenie“, lecz on się nie dał umitygować. Rewizya miała się już ku końcowi, broni nie znaleziono, lecz rozdrażnienie wzajemne wciąż się wzmagalo. Wychodząc, oficer rozkazał Jeszukowowi, by podążył za nim.

Gdy wyszli na ulicę, oficer zakomenderował:— „rozstrzelać go!“

I na miejscu, na gościńcu, wiodącym do Karaczarowa, zabito go kilku wystrzałami.

Był on kotlarzem w warsztatach kolejowych.

Innego znów robotnika z tych samych warsztatów, kowala Pachomowa, po dokonanej w jego mieszkaniu rewizyi, żołnierze na ulicy wzięli na bagnety. Znaleziono u niego rewolwer, do którego się przyznał. Oficer nie wiadomo dlaczego nie zastrzelił go na miejscu, lecz kazał mu iść za sobą na ulicę i po przejściu kilku kroków zakomenderował: „wziąć go na bagnety“. Umarł w okropnych męczarniach od ran, zadanych wyłącznie bagnetami.

Wszystkie ofiary pochował duchowny z Perowa, ojciec Aleksander. Cała ludność miejscowa wyraża się o nim z wielką sympatją i miłością. Największe pochwały oddają mu biedacy: „Litował się nad nami. Zawsze za nami się ujmował!“

Gdy stary Mołostow zwrócił się do duchownego swojej parafii, mieszkającego w Karaczarowie,

z prośbą o pochowanie dwóch zabitych jego synów, ten odmówił. Musiał więc Mołostow prosić o to ojca Aleksandra, który zgodził się bez żadnego wahania.

Jednak w parę dni potem, około godziny 10-ej wieczorem, przybył do ojca Aleksandra stróż kolejowy z następującem wezwaniem: „Do duchownego, ojca Aleksandra Kazańskiego. Naczelnik ochrony wojennej na stacyi Perowo prosi pana o natychmiastowe przybycie do niego na stacyę. Kapitan Zykow“. Ojciec Aleksander poszedł i już do swej rodziny nie wrócił.

Został aresztowany i o godzinie pierwszej w nocy odwieziony do Moskwy, gdzie go przetrzymano na dworcu kolejowym do 4-ej po południu, a następnie przewieziono do więzienia Tagańskiego; tam go trzymają do chwili obecnej. Na dworcu w Moskwie postępowano z nim brutalnie i okrutnie; obsypano go wymysłami i drwinami.

Akt oskarżenia dotychczas jeszcze nie został mu wręczony, lecz ustnie żandarmi oskarżają go o to, jakoby był głównym agentem rewolucjonistów w Perowie, przechowywał i rozdawał broń, dowodził drużyną bojową, nie odmawiał podczas mszy modłów za Cesarza i t. d. Wytaczają mu sprawę na podstawie 102 i 109 art.

Z wielkim trudem udało mi się wreszcie odnaleźć jedną z ofiar okrucieństw ekspedycyi karnej na stacyi „Perowo“, p. Karyńskiego. Dano do niego salwę i upadł bez znaku życia. Żołnierze, sądząc, że już nie żyje, nie dobili go bagnietami i poszli dalej wykonywać swą czynność. Tymczasem nieszczęsny Karyński żył jeszcze. Przez pewien czas leżał bez przytomności, lecz później się

ocknął; na szczęście wkrótce przybyli sanitaryusze z pociągów mandżurskich, zabrali go i odwieźli do wagonu sanitarnego, gdzie, wskutek nadzwyczaj troskliwej i umiejętnej opieki tych poczciwych ludzi, ocalał, jakkolwiek do końca życia pozostanie kaleką.

Karyński niedawno powrócił z pola wojny, z Mandżuryi, otrzymawszy ze względu na kontuzję 6-miesięczny urlop. Przyjechał do Perowa, aby znaleźć jakieś zajęcie, gdyż przed wojną pracował tu 4 lata, jako tokarz metalów.

16 grudnia (st. st.), w nieszczęsny ów dzień, siedział w domu. I u niego, jak i u innych, dokonano w mieszkaniu rewizyi. Robił ją sam Riman i, nie znalazłszy, udał się z żołnierzami do innych mieszkań.

Karyński, nie poczuwając się do żadnej winy i uspokojony, że nic mu już nie grozi, skoro ani w domu nie u niego nie znaleziono, ani w spisie nie było jego nazwiska, postanowił udać się na herbatę do pobliskiej herbaciarni, odległej od jego mieszkania może na 20 sążni. Przeszedłszy zaledwie kilkadziesiąt kroków, zobaczył na drodze zabitego konia, podszedł więc bliżej, aby mu się przyrzec. Wtem spostrzega opodal 2 robotników, do których dano salwę z karabinów i którzy martwi padli na śnieg. Na ten straszny widok Karyński chciał w pierwszej chwili uciekać, lecz później zmiarkował, że byłoby to bezcelowem a nawet niedorzecznem, gdyż jeśli zaczną biedz, to napewno go zabiją. Zatrzymał się więc na miejscu w tem przekonaniu, że nie grozi jego życiu żadne ze strony żołnierzy niebezpieczeństwo, skoro on może z czystem sumieniem wylegitymować się,

kim jest, skąd wraca i dodać nadto, że władza dokonała u niego rewizyi i nic nie znalazła.

8 żołnierzy podeszło do niego i zrewidowało. Rzecz prosta, nic nie znaleźli. Zapytali go, gdzie mieszka. Karyński odpowiedział:

— „Z Mandżurji, bracia, powracam. Zostałem tam kontuzyjowany, dano mi więc urlop i przyjechałem tu z powrotem. Walczyłem za naszego Cesarza, za Rosyę, macierz naszą. Nacierpiałem się tam niemało, choroby się nabawiłem!...”

Kiedy tak opowiadał, żołnierze oddalili się od niego nieco i Karyński widzi ku przerażeniu swemu, że oni doń mierzą i że osiem luf jest w niego wycelowanych. Nie zdążył nawet krzyknąć, gdy dał się słyszeć huk wystrzałów, bez żadnej komendy, jak gdyby na podstawie wzajemnej umowy, i nieszczęsny Karyński, jak snop zżęty, powalił się na ziemię. Dwie kule przeszły go na wskroś, inne świsnęły mu nad uchem, nie czyniąc szkody. Rany były bardzo ciężkie, lecz dzięki nadzwyczaj umiejętnej i ludzkiej opiece sanitaryuszów, zdołał uniknąć śmierci.

Obecnie może chodzić z wielkim tylko wysiłkiem, do pracy stał się zupełnie niezdatnym i rozpacza nad swym okropnym losem, gdyż ma żonę i dwoje drobnych dzieci do wyżywienia. Karyński opowiada, że w wagonie, w którym leżał, było jeszcze 7 rannych z pośród miejscowej ludności. Trzech z nich w nocy umarło, 4 zostało przy życiu.

Razem z nim leżał też ranny niejaki Makaryczew, który był magazynierem w składzie materiałów warsztatów kolejowych. Raniono go podczas wykonywania obowiązków służbowych przy pociągu sanitarnym. Dowodzi to, że kule leciały

również i w kierunku pociągu sanitarnego i, jak to stwierdza niejaki K., zarządzający jednym z pociągów sanitarnych zniewolony był udać się do Rimana z żądaniem, aby polecił zaprzestać strzelaniny do pociągu sanitarnego.

Po wyleczeniu się, Karyński, jako szeregowiec, musiał zameldować swej władzy wojskowej, że wskutek odniesionych ran od kul obecnie do żadnej pracy nie jest zdolny. Na skutek rozporządzenia gubernatora moskiewskiego „urządnik“ miejscowy przeprowadził śledztwo, którego rezultaty nie są mi znane.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć trzy wypadki, które zdarzyły się w miesiąc po wyjeździe oddziału Siemionowskiego, kiedy ten powrócił już do Petersburga. Charakteryzują one jaskrawo nakazy moralne, które ci działacze pozostawili swoim następcom, tę straszną samowolę, opartą na sile bagnetu i nieograniczonej swobodzie pozbawiania ludzi życia. Nakazy te długo jeszcze były stosowane po wyjeździe oddziału. Na stacji Perowo pozostawiono oddział żołnierzy 4-ej dywizyi 16 Ładoskiego pułku piechoty.

28 lutego byłem świadkiem następującej sceny na tej stacji. Pewien pasażer w sali klasy III-ciej głośno rozmawiał ze swoim przyjacielem konduktorem. Wtem podszedł do niego żołnierz z bronią i zawołał: „Czemu rozmawiasz? Zamilcz!“ Ten odparł: „To do ciebie nie należy. Niema w tem nic złego, że rozmawiam!“ Nie zdążył jeszcze dokończyć zdania, gdy silnem uderzeniem kolby w lewy policzek został przewrócony na podłogę. W sali ozwały się pojedyncze głosy oburzenia.

„Precz stąd, wszyscy precz!“ — krzyknął żoł-

nierz i grożąc, że użyje broni, rozpędził wszystkich.

Przedtem jeszcze, podczas jednej ze swych podróży, które odbywałem w celu zbadania działań karnych oddziału Siemionowskiego, byłem świadkiem innej sceny, tym razem w wagonie klasy II-iej podmiejskiego pociągu kolei Moskiewsko-Kazańskiej.

O godzinie 3-ciej min. 10 po południu ze stacyi Moskwa odchodził pociąg przepelniony pasażerami. Na platformie wagonu stał młody człowiek.

Kiedy wchodził oficer 4-ej dywizyi 16 Ładowskiego pułku, młody człowiek powiedział mu, że niema miejsca i że wagony są przepelnione.

— „To nie pańska rzecz, wynoś się pan stąd!“ — odparł oficer i wszedł.

Wszczęła się sprzeczka.

W tej chwili pociąg ruszył.

Na oświadczenie oficera, że aresztuje młodzieńca, ten odpowiedział: „Nie masz pan prawa, gdyż nie zrobiłem nic karygodnego! Aresztowanie ludzi to rzecz policyi i żandarmeryi, nie zaś oficera!“

Cała publiczność, zainteresowana tem zajściem, w milczeniu obserwowwała jego przebieg.

Naraz wszyscy jakby zamarli... w dłoni oficera błysnął rewolwer; przyłożył lufę do piersi młodzieńca i nastąpiła straszna chwila.

Zrobiła się cisza. Jedni z przerażenia ukryli twarz w rękach, drudzy, przeciwnie, wyteżyli wzrok w niemem oczekiwaniu.

Straszna była ta długa chwila...

Wtem dał się słyszeć spokojny, pełen pe-

wności siebie głos: „Nie unos się pan, odejmij rewolwer!” i jakaś ręka odsunęła rewolwer.

Powiedział to niemłody pułkownik, który był gdzieś w pobliżu

Wszyscy odetchnęli swobodnie.

Oficer schował rewolwer.

Kiedy pociąg przybył do Perowa, młodzieńca zaaresztowano.

Trzeci wypadek był tak charakterystyczny sam przez się, tak prosty i zarazem tak wymowny ze względu na samowolę z jednej strony a niemożność szukania gdziekolwiek obrony przed nią, z drugiej że gdy się o tem pomyśli, to strach przejmuje o życie ludzkie, które w każdej chwili może być człowiekowi wydarte bez sądu albo też darowane, zależnie jedynie od kaprysu lub litościwego usposobienia naczelnika wojskowego.

Na stacyi Perowo w styczniu zaszedł taki wypadek:

Starszy sygnalista Musiałow, który przesłużył już 11 lat na kolei Moskiewsko-Kazańskiej, o g. 11-ej w nocy był na dyżurze w swojej budce. W tym czasie dyżurny na stacyi Wietoszkin wezwał Musiałowa do telefonu.

Ale Musiałow nie mógł w żaden sposób dosłyszeć, co doń mówił naczelnik, z powodu hałasu, który robili inni sygnaliści. Nie odejmując trąbki od ust, zawołał na nich: „Hej wy tam! czego się... drzecie!” Przytem tam, gdzie są kropki, użył dosadnego rosyjskiego słowa o charakterze niecenzuralnym.

Wietoszkin, myśląc, że ten wyraz był skierowany pod jego adresem, poskarżył się na niego przed naczelnikiem roty pułku Ładoskiego, i nie

przeszło 5 minut, gdy zjawili się żołnierze i za-aresztowali Musiałowa.

Kiedy przyprowadzili go na peron, wyszedł tam dowódca, otoczył go żołnierzami i oświadczył mu, że będzie natychmiast rozstrzelany, sam zaś poszedł pisać rozkaz rozstrzelania.

Po upływie 20 minut zawezwano Musiałowa do sali klasy II-ej, aby wysłuchał urzędowego wyroku sądu wojennego, skazującego winowajcę na rozstrzelanie. Musiałow wysłuchał tego wyroku, wydanego na mocy jakichś paragrafów prawa, albo, jak utrzymuje świadek, „swoich ustaw“.

Wysłuchawszy, oczekiwał śmierci. Dużo Musiałow przeżył w ciągu tych kilku minut. Myślał o rodzinie, o sześciorgu swych dzieciach, z których jedno było młodsze od drugiego; żal ścisnął mu serce, że nie może się z nimi pożegnać; ciężko mu też było, że nie może przed duchownym duszy swej obnażyć i wypowiadać się, ponieważ wykonanie wyroku miało nastąpić natychmiast, na peronie.

Poddał się losowi.

Na szczęście znalazł się pociągowy człowiek, „serdeczny człowiek“, jak mówi świadek, a mianowicie zawiadowca stacji Zylberman, który zdołał uprosić dowódcę, aby nie rozstrzeliwał biedaka przez wzgląd na nieszczęsną rodzinę i małe dzieci.

Zmiękczyło się serce dowódcy i po upływie pół godziny wyniósł inny papier, który mu przeczytał; było tam powiedziane, że na skutek wstawienia się za nim władzy, zamienia mu się karę śmierci na uwolnienie ze służby z warunkiem, aby nie przyjmowano go do służby na kole-

jach rządowych i żeby w ciągu 3-ch dni opuścił rządowe mieszkanie.

Zatem jedynie dzięki wstawieniu się poczciwego człowieka Musiałów został ocalony, choć zmuszony będzie długo, dopóki nie nauczy się nowego rzemiosła, pędzić wraz ze swą rodziną życie o głódzie.



ROZDZIAŁ IV.

Kiedy drużyna bojowa rozbrajała wojskowe i sanitarne pociągi, 27-iu marynarzy wyszło z pociągu i przyłączyło się do drużyny moskiewskiej, solidaryzując się z jej celami i zadaniami. Przebrali się po cywilnemu i jeździli co wieczór pociągiem walczyć do furtki Mozzuchińskiej, gdzie znajdowała się secina kozaków. Furtka ta znajduje się niedaleko od fabryki Mozzuchina i prowadzi na plant kolei żelaznej.

Oddział Siemionowski zaczął się w pobliżu tej furtki w celu zniesienia drużyny bojowej, która istotnie miała w swych rękach Moskiewsko-Kazańską kolej w promieniu gubernii Moskiewskiej. Pociąg z całą drużyną, nie domyślającą się zasadzki, dostałby się niewątpliwie w ręce żołnierzy, lecz dzięki zimnej krwi maszynisty, obecności marynarzy i kilku żołnierzy ubranych po cywilnemu bojowcy uniknęli niebezpieczeństwa. Strzelano do nich z kartaczownic, przestrelono rezerwoary z wodą i naftą, tak iż cała ich zawartość wypłynęła, podziurawiono kulami całą lokomotywę, lecz rury zostały nieuszkodzone i popychany resztkami pary w lokomotywie pociąg umknął.

Z bojowców zabity został tylko jeden Alferow i siedmiu czy ośmiu otrzymało lekkie rany. Uratowała bojowców od śmierci pomysłowość maryna-

rzy, którzy rozkazali im położyć się na ziemi. Kartaczownice, obliczone na pewną wysokość, nie zrobiły krzywdy bojowcom, leżącym na podłodze, choć ściany wagonów były podziurawione literalnie jak sito. Pociąg ten stał długo na moskiewskim torze zapasowym, tak iż łatwo było stwierdzić, ile strzałów do niego skierowano. Szczęśliwie przybywszy do Perowa, bojowcy rozproszyli się, a następnie znowu zbrali się w Moskwie na barakadach.

Epizod ten wskazuje, że główni winowajcy, którzy zagarnęli w swoje ręce kolej Moskiewsko-Kazańską, umknęli i nie dostali się w ręce ekspedycyi karnej; łatwo więc wyobrazić sobie wściekłość kierowników oddziału karnego, gdy okazało się, że z powodu swej niezdarności i nierozgarnięcia, wypuścili niemal z rąk główną drużynę bojową kolei Moskiewsko-Kazańskiej. Więc w gniewie mścili się na wszystkich, którzy wpadli w ich ręce, nie sprawdzając ani ich winy ani też stopnia ich uczestniczenia w drużynie bojowej.

Literalnie nikt z pomiędzy tych, którzy pozostali na miejscu na stacyach, nie jeździł w charakterze bojowca tym pociągiem; była to głównie drużyna moskiewska oraz 27 marynarzy i kilku żołnierzy z Dalekiego Wschodu. Wszystkich razem było około 100 ludzi.

Oddział karny zabił 68 ludzi, wciągniętych do rejestru, mianowicie: w Sortirowocznej 8, w Perowie 16, w Lubercach 14, w Aszytkowie 3, w Golutwinie 27 razem 68. Oprócz tego nie wciągniętych do rejestru zabito w Perowie 57, a w Sortirowocznej 25—razem 82 ludzi. Ogółem 150.

Z tej liczby zabito 2-ch mężczyzn, którzy brali

udział w powstaniu zbrojnym: maszynistę Uchtomskiego i technika Alferowa; trzech mężczyzn, którzy pomagali moskiewskiej drużynie bojowej, popierając powstanie zbrojne, a mianowicie: pomocnika naczelnika stacji „Luberce“ Smirnowa, właściciela letniego mieszkania Michelsona i włościanina Kisielewa. Prócz tego zabito 16 rozmaitych osób ze związku kolejowego i z miejscowej drużyny bojowej, zorganizowanej jedynie w celach samoobrony od tamtejszych chuliganów. Reszta, w liczbie 129, była zabita zupełnie niewinnie.

Pozostawiwszy część oddziału w Perowie pod dowództwem kapitana Zykowa, pułkownik Riman 29 grudnia pojechał na stację Kosino i całą noc robił rewizję we wsi Żulebinie, położonej niedaleko od stacji; szukano ludzi podług jakiejś tam listy. Nad ranem pociąg z żołnierzami ruszył dalej i zatrzymał się przy platformie stacji „Podosinki“. Pod przewodnictwem Rimana żołnierze udali się do letniego mieszkania Michelsona, gdzie on mieszkał z żoną i kucharką.

Wszyscy w domu jeszcze spali i nikt nie wiedział o mającej nastąpić wizycie. Owej nocy spało u Michelsona 2-ch towarzyszy z rewolwerami dla ochrony jego mieszkania od grabieży miejscowych chuliganów. Zwykle co noc do niego przychodziło kilku bojowców.

Podczas rewizji znaleziono u niego 2 rewolwery oficerskie, które zabrał był przy rozbieraniu wojsk mandżurskich, oprócz tego proklamacje i jakieś spisy. Rozkazano im prędko się ubierać i wyjść na ulicę. Nawet im przez myśl nie przeszło, po co im każą to uczynić; byli przekonani, że idą na badanie. Michelson włożył najlepsze ubranie i wy-

szedł z żołnierzami w zaułek otoczony laskiem. Jak tylko wszyscy trzej znaleźli się na skraju lasu, żołnierze wymierzili do nich i położyli ich trupem na miejscu. Obydwaj bojowcy byli jeszcze bardzo młodymi chłopcami, jeden miał najwyżej lat 16.

Nie wiadomo dlaczego twarz jednego z nich nabiegła krwią i nosiła ślady strasznych męczarni.

Żona i kucharka znajdowały się w tym czasie w mieszkaniu.

Usłyszawszy wystrzały, żona zrozumiała, co się stało. Poczekala, aż żołnierze odeszli, popatrzyła na zwłoki męża, ubrała się i gdzieś zniknęła. Kucharka pozostała do późnego wieczora i pilnowała zwłok, lecz skoro noc zapadła, nie mogła wytrzymać dłużej, zamknęła dom i także nie wiadomo dokąd poszła.

Trzy trupy leżały cały tydzień na miejscu kaźni, nieme świadki krwawej rozprawy. Drapieżne ptaki wykłuły im oczy, a psy żywiły się ich mięsem. Dopiero po tygodniu włościanie wsi Żulebina wykopali im wspólną mogiłę i razem je pochowali.

Mieszkańcy miejscowi powiadają o Michelsonie, że był doskonałym mówcą. Włościanie chętnie się przysłuchiwali, gdy przemawiał, i dobrze rozumieli jego jasną a zwięzłą mowę. Za jego sprawą została usunięta długotrwała niechęć między włościanami a miejscowymi robotnikami fabrycznymi.

Trupy, leżące tydzień na skraju drogi na pokaz wszystkim przechodniom, napępiały trwogą ludność miejscową. Ludzie bali się przechodzić koło tego złowrogiego miejsca i obchodzili je okólnymi drogami.

W jakim celu to zrobiono — nie wiadomo. Może w zamiarze nastraszenia całej miejscowej ludności...

Po zrobieniu jeszcze kilku rewizyi w innych domach w pobliżu platformy Podosinek, oddział ruszył dalej do stacji „Luberce“. Działalność jego w fabryce hamulców w Lubercach już opisałem w jednej z notatek.

Przebieg zaś wypadków na stacji i w okolicach był następujący. Żołnierze, zatrzymawszy pociąg w odległości $1\frac{1}{2}$ wiorsty od stacji, z różnych stron zaczęli się zbliżać do niej grupami po 5—6. Pierwsza grupa spotkała na drodze 3-ch ślusarzy, z których jeden, Kazakow, niósł pod pachą zepsuty rewolwer do warsztatu ślusarskiego do reparacyi. Żołnierze zatrzymali ich i kazali im podnieść ręce do góry. Kiedy Kazakow wykonał polecenie, rewolwer wysliznął się mu z pod pachy i upadł na śnieg. Wtedy stojący obok żołnierz z takim rozmachem uderzył Kazakowa bagnetem, że ten upadł w chwili, gdy reszta żołnierzy strzeliła do niego. Kule świsnęły obok, a Kazakow zerwał się na nogi i drapnął. Dano doń jeszcze kilka strzałów, lecz zdążył dobiec do domu i ukrył się w jakimś prywatnem mieszkaniu, gdzie mu zrobiono opatrunek. Jedna z kul trafiła go w rękę i zmiażdżyła mu kość, tak że musiał iść do szpitala, do Kraskowa, gdzie mu amputowano rękę. Dwaj zaś jego przyjaciele rozbiegli się w różne strony i ocalili.

Przyszedłszy na stację, żołnierze nikogo tam nie zastali, lecz po upływie kilku minut przybył pomocnik zawiadowcy stacji Smirnow i zapytał ich, dlaczego tu przyjechali i z jakiego są pułku.

Z kolei oni jego zapytali: kto on taki?

— „Jestem Smirnow!” — odpowiedział pomocnik naczelnika stacyi.

— „Właśnie pan nam jest potrzebny!” — powiedzieli żołnierze i, zaarrestowawszy go, posadzili w biurze stacyjnem. Kiedy przyszedł pułkownik Riman, oświadczył Smirnowowi, że wkrótce będzie rozstrzelany, zażądał od niego, aby wymienił towarzyszków i tych, którzy byli w pociągu, jaki pojechał do Faustowa, oraz żeby mu powiedział, gdzie oni się teraz ukrywają.

Aresztowano go w południe, a dopiero nazajutrz rano około godziny 8-ej wykonano wyrok. Cały ten czas spędził w zamknięciu w pełnem udręczeniu oczekiwaniu śmierci. Przez całą noc pisał pożegnalne listy do rodziców i znajomych w stanie najwyższego zdenerwowania. Nad ranem nie mógł już wytrzymać męczarni wyczekiwania śmierci i zwrócił się do oficera z prośbą, żeby go natychmiast zabito. Wtedy wyprowadzono go na peron, pod wodociąg, i Riman osobiście, mierząc w twarz, strzelił do niego. Kula trafiła w szyję. Twarz skazańca wykrzywiła się w strasznych męczarniach, lecz stał w dalszym ciągu na miejscu; drugi wystrzał drasnął mu kark, nie zabijając; i dopiero trzeci w skroń przerwał jego cierpienia. Runął na śnieg...

Dlaczego trzymano go noc całą w okropnem oczekiwaniu egzekucyi i zabito dopiero nad ranem — nie wiem. Niektóre jego listy doszły na miejsce przeznaczenia. Nie spowiadano go przed śmiercią.

Kiedy Smirnow pod strażą siedział w biurze stacyjnem, inna część żołnierzy robiła rewizyę

w osadzie Lubercach i szukała tych, których miała zapisanych na liście.

Niedaleko stacyi jest traktyernia, w której został zaaresztowany maszynista Uchtomski oraz wielu miejscowych robotników fabrycznych, którzy, nie przewidując nic złego, poszli tam na herbatę.

Podczas rewizyi w mieszkaniu włościanina Kisielewa znaleziono rewolwer. Kisielew chciał się usprawiedliwiać. Oficer kazał mu milczeć, lecz on nie usłuchał; po trzykrotnem powtórzeniu tego rozkazu oficer kazał go rozstrzelać na podwórzu stacyi około godziny 10-ej rano.

Po egzekucyi Smirnowa, razem z nim byli zabici jeszcze czterej robotnicy, zabrani w nocy podczas rewizyi. Pozostawali na stacyi w zamknięciu aż do chwili rozstrzelania.

Po 10-ej rano aresztowania odbywały się w dalszym ciągu i na stacyę przyprowadzono jeszcze około 40 robotników oraz włościan; w ich liczbie znajdował się także zabrany Uchtomski. Wszyscy oni gotowali się na śmierć, ponieważ byli przekonani, że ich zabiją. Wiedzieli teraz, że gdy się kogo przyprowadza na stacyę, to w tym celu, żeby go zabić. Świadczyła o tem śmierć Kisielewa i 4-ch towarzyszków, a poprzednio jeszcze śmierć Smirnowa.

Kiedy około godziny drugiej po południu zjawił się Riman, żeby wykonać wyrok, zaczął od tego, że podług listy wywoływał nazwiska. Okazało się, że wśród obecnych tylko pięciu było na liście: robotnik Kryłow, maszynista Uchtomski i jeszcze trzech, których nazwisk nie mogłem dotąd sprawdzić. Pozostałym Riman kazał przysiąc uroczyście, że nigdy w życiu nietylko

brać udziału w strajkach, lecz nawet ich popierać nie będą, i że zobowiążą się do zupełnej uległości swojej władzy. Kto zaś nie zechce przysiąc, będzie rozstrzelany.

Naturalnie, że wszyscy nietylko przysięgli, ale nawet każdy starał się jak najprędzej wykonać przysięgę, ażeby uwolnić się od ponurego widma krwawej rozprawy. Ale jaką może mieć wartość ta przysięga, wymuszona pod grozą bagnatów? Wątpię czy sam Riman nawet w nią wierzył.

Pięciu pozostałym zaproponowano wypowiedzieć się, co też niektórzy uczynili.

Następnie, około godziny czwartej po południu, poprowadzono ich wzdłuż peronu na prawo, wobec zgromadzonej w oknach publiczności; konwój skręcił i wyprowadził skazańców na ulicę Słobodzką; na końcu tej ulicy, około łaźni Maślannikowa ustawiono ich tyłem do żołnierzy, twarzą do lasu, z wyjątkiem Uchtomskiego, który miał twarz zwróconą w stronę osady.

Po dwóch salwach wszyscy byli nieżywi.

Opis śmierci Uchtomskiego znajdzie czytelnik poniżej.

Zabitych pochowano we wspólnej bratniej mogile na cmentarzu w Lubercach.

Chował ich miejscowy kapłan; rodziny i przyjaciele mogli wziąć udział w pogrzebie. Mówią, że niektórzy z zabitych mieli bardzo zmienione twarze.

Kiedy po egzekucyi pułkownik Riman wracał na stacyę, spotkał jakąś gorzko płaczącą kobietę. Zwróciwszy się do pułkownika, kobieta wśród łez i łkań jęła zawodzić:

— „Za co zabiliście mojego? Co on takiego

zrobił? Oto taki jego towarzysz, co razem wszędzie z nim się włóczył, przyjaciel jego Funtow — żyje! A mego to zabili? Gdzież tu jest sprawiedliwość!“ I znów załała się gorzkiemi łzami.

Riman zapytał, który to jest Funtow. „A oto ten — ślusarz fabryczny“ — i wskazała na młodego chłopaka, który znajdował się niedalako od miejsca kaźni.

Riman kazał go aresztować i wsadzić do swego pociągu...

Po odbytej egzekucyi posłano po duchownego, aby odprawił mszę dziękczynną z powodu uwolnienia tej miejscowości od buntowników.

Następnie pułkownik Riman, pozostawiwszy na stacyi dla dozoru kapitana Mejera, z częścią oddziału pojechał dalej, w stronę Gołutwina. Na 36 wiorście trup Funtowa z przestrzeloną głową został wyrzucony i znaleziony na torze.

Oto uzupełnienie spisu zabitych w Gołutwinie, którzy nie byli podani na poprzednich listach:

1 Szeleganow, robotnik z fabryki kołomeńskiej.

2. Sidorow, również.

3. Fedotow, również.

4. Kotow, również.

Działalność oddziału Siemionowskiego należy oświetlić opisem wypadków, które miały miejsce przed przybyciem wojska na stacyę „Luberce“.

W tej miejscowości jeszcze przed wypadkami grudniowymi został zorganizowany związek zawodowy pośród robotników fabryki hamulców; głównem jego zadaniem było zjednoczenie wszystkich robotników fabryki w sprawie poprawy warunków ekonomicznych bytu i pracy. Kiedy nadszedł 20

grudnia, dzień ogłoszenia powszechnego strajku politycznego, związek zawodowy zaakceptował ogólny minimalny program polityczny i postanowił strajk popierać.

Na dwa tygodnie przedtem skrajne żywiły związku zawodowego łącznie z pewną częścią oficyalistów kolei żelaznej utworzyły komitet stacji „Luberce” wszechrosyjskiego związku kolejowego.

Zadanie tego komitetu było takie samo, jak i komitetu wszechrosyjskiego związku kolejowego.

Była to ni mniej ni więcej, tylko jego filia w Lubercach.

Na posiedzeniu związku kolejowego w gmachu Fiedlera uchwalono wstrzymać wszelki ruch kolejowy i przepuszczać tylko pociągi sanitarne z Dalekiego Wschodu oraz pociągi z wojny z żołnierzami zapasowymi.

Tak też zrobiono. Pociągi pasażerskie zatrzymywano, a wojskowe i sanitarne pomyślnie dochodziły do Moskwy. Lecz oto zwrócono uwagę związkowi kolejowego na to, że przybywające do Moskwy wojska natychmiast stają po stronie rządu i dopomagają do krwawego stłumienia rozpoczętego ruchu strajkowego. Wyglądało to więc tak, jak gdyby komitet przez swoją uchwałę pomagał własnym przeciwnikom, dając im pomoc czynną.

Wtedy postanowiono przy pomocy komitetu lubereckiego rozbrajać wojska, jadące do Moskwy.

W tym celu zatrzymywano w Lubercach każdy pociąg. Do wagonu wchodziło 10—15 bojowców i zwracało się do starszego oficera z propozycją, by oddał swoją broń, a także broń żołnierzy. W przeciwnym razie grozili odcepieniem lokomotywy i pozostawieniem pociągu na miejscu.

Osobistych pogróżek nie używano.

Pragnienie żołnierzy dostania się jak najprędzej do domu było tak wielkie, a każde opóźnienie w drodze wywoływało taki gniew i rozdrażnienie, że najczęściej cały pociąg bez protestu oddawał broń, poczem szczęśliwie dojeżdżał do Moskwy. Trzeba dodać, że w pociągu bywało bardzo mało broni; broni rządowej żołnierze nie mieli; własnej zaś, którą pozbiali na polu walki, było stosunkowo niewiele.

Zdarzały się naturalnie wypadki, że oficerowie w żaden sposób nie chcieli poddać się żądaniu oddania broni.

Zwykle wtedy żołnierze prosili oficerów, aby uporem swoim nie wywoływali wstrzymywania pociągu, i często udawało im się ich przekonać.

Zdarzały się i takie wypadki: raz w Lubercach zatrzymał się pociąg sanitarny. Zażądano oddania broni. Wszyscy oddali. Bojowcy zwrócili się do oficera z zapytaniem, czy wszystko już oddane i czy niema jeszcze broni w pakunkach z rzeczami. Oficer dał słowo, że już niema, zaniechano więc rewizyi. Wtem pewien żołnierzyk, wzięwszy na stronę bojowca, powiedział mu: „Sklamał, cały magazyn jest pełen broni!“ Wtedy komitet rozkazał, by otworzono magazyn; pomimo silnego protestu ze strony dowódcy pociągu, zostało to uskutecznione i znaleziono wiele broni i nabojów.

Raz zdarzył się i wręcz odwrotny wypadek. W wagonie żołnierskim jechało dwóch oficerów. Gdy zażądano od nich, żeby oddali broń, odpowiedzieli, że jej nie posiadają. Bojowcy zdziwili się, nie wierzyli, by oficerowie nie mieli nawet rewolweru, i chcieli ich zrewidować.

Wtedy żołnierze zwrócili się do bojowców z następującymi słowami: „Panowie, prosimy was, abys-

cie nie rewidowali naszych oficerów; dajemy słowo, że wcale broni nie posiadają. To są nasi ukochani oficerowie, jadą z nami w jednym wagonie i jeżeli, nie wierząc naszemu zapewnieniu, podacie ich rewizyi, to nas obrazicie“. Rewizyi zaniechano.

Niektóre pociągi bojowcy przetrzymywali na stacyi po kilka godzin, póki żołnierze nie zdecydowali się oddać broni. Gwałtów nad jednostkami w rodzaju grożenia śmiercią lub zbiciem, nigdy się nie dopuszczano.

Przeciwnie, bojowcy zmuszeni byli toczyć walkę z miejscowymi chuliganami. Do pociągów wdzielali się amatorzy cudzej własności i, udając bojowców, kradli cudze rzeczy i żądali pieniędzy. Wtedy bojowcy zniewoleni byli uciec się do następującego sposobu: na platformie każdego wagonu stawiano po jednym bojowcu, który nikogo z obcych nie wpuszczał do środka. W czasie, gdy obchodzono pociągi, znajdowało się w nich dużo pasażerów, którzy tam się dostali wskutek zbiegu rozmaitych okoliczności i nie mieli nic wspólnego z wojskowością. W takich wypadkach bojowcy wysadzali ich na stacyi w Lubercach.

Rozbrajanie zapasowych trwało aż do chwili pojawienia się żołnierzy siemionowskich; potem wszyscy członkowie komitetu, prowodyrzy i kierownicy rozproszyli się i ukryli. Opowiem to szczegółowo później. Tylko niewielu z nich dostało się w ręce żołnierzy i zginęło od kuli.

Podczas gdy komitet stacyjny był zajęty rozbrajaniem żołnierzy i wysyłką odebranej broni do Moskwy, druga część drużyny biła się na barykadach około dworca Razańskiego i przy furtce przez którą jest wyjście z plantu na ulicę.

Walczone przy furtce przeważnie nocami aż do świtu.

Następnie drużyna bojowa siadała do pociągu i odjeżdżała na odpoczynek i na pokrzepienie się snem do Luberc albo do Perowa, nie opuszczając wagonów. Następnego wieczora, pokrzepiona snem, znowu wracała do Moskwy.

27 grudnia bojowcy, jak zwykle, przyjechali do Luberc na odpoczynek; wtem dowiadują się, że z Moskwy przybyli konno kozacy i zatrzymali się w Lubercach. Natychmiast całym pociągiem pomknęli do Faustowa, gdzie czas jakiś pozostali. Kozacy kilka godzin zabawili w Lubercach, a potem pojechali do Moskwy.

Zabity później zawiadowca stacji Smirnow, żeby dogonić pociąg drużyny, pojechał na samej lokomotywie do Faustowa. Chciał zawiadomić bojowców, że kozacy wrócili do Moskwy, i uprzedzić, żeby natychmiast wybrali się do Moskwy, gdyż tamtejszą stację obstawiają żołnierzami siemionowskimi.

Wtedy tym samym pociągiem powrócili bojowcy do Moskwy; lokomotywą ich kierował bardzo zdolny maszynista i członek komitetu, który obecnie przebywa zagranicą. Kiedy pociąg minął Sortirowoczną, na wiorstę przed stacją „Moskwa“, około gmachu Pokrowskiego stowarzyszenia kobiecego przywitały ich kartaczownice, ustawione na platformie pociągu towarowego. Pociąg z bojowcami był w pełnym biegu, gdy rozległa się strzelanina z kartaczownic. Pociąg, za sprawą maszynisty, na jedną chwilę się zatrzymał, a potem zaczął pędzić w odwrotnym kierunku z coraz większą szybkością. W tym pociągu zabity został jeden człowiek, kilku zaś raniono, niektórych nawet ciężko.

Ujehawszy pewien kawał drogi ku Perowu, wszyscy bojowcy rozproszyli się, prowodyrzy zaś częściowo ukryli się, a częściowo powrócili do Moskwy. 28 grudnia stacya Moskwa została zajęta przez żołnierzy siemionowskich i od tego momentu rozpoczyna się ich działalność karna na linii kolei Moskiewsko-Kazańskiej, działalność, która się zaznaczyła całym szeregiem wyuzdanej samowoli, nie zaś wykryciem winnych i oddaniem ich w ręce prawowitego sądu.

Przytoczę tu zeznanie jednego z mieszkańców miejscowych, zaaresztowanego w Luberechach i odesłanego na stacyę na 3-ci dzień po przybyciu oddziału. Od śmierci ocaliło go tylko to, że nie było Rimana, który właśnie udał się na krwawe egzekucyje do Gołutwina. Po przyjeździe żołnierzy zrobiono w mieszkaniu świadka P. pod kierunkiem Rimana jak najściślejszą rewizyę. Nic nie znaleziono i pozostawiono p. P. w spokoju.

Na trzeci dzień znów zjawili się żołnierze, zaaresztowali go, zaprowadzili na stacyę, zamknęli w oddzielnym pokoju, postawili wartę przy drzwiach, a sami odeszli do wsi Czasownia, w której, według ich przypuszczenia, mieli się ukrywać członkowie komitetu luberckiego.

Powróciwszy po jakimś czasie ze wsi Czasownia, przywlekli ze sobą staruszkę, oskarżoną o to, że ukrywała u siebie tych ludzi. Wsadzili ją do tego samego pokoju, a świadka P. zaczęto badać. Oskarżano go, iż agitował wśród włościan w sprawie agrarnej. Pan P. odpowiedział, że wcale nie zna się na kwestyi rolnej, nie mógł zatem zajmować się nią, i że jest tylko członkiem wszechrosyjskiego związku kolejowego.

Obejście się z nim oficerów było bardzo szorstkie. Badał go kapitan Mejer.

Mejer odpowiedział mu: „Wina pańska jest dla nas dowiedziona. Dajemy panu pół godziny czasu, poczem będziesz rozstrzelany, jeżeli nie wydasz wszystkich prowodyrów i członków komitetu“. Następnie wyszedł i posłał po żonę świadka P., żeby pożegnała się z nim przed śmiercią albo namówiła go, by wydał wszystkich członków komitetu.

Wyobraźni czytelnika pozostawiamy odtworzenie tego, co się działo podczas półgodzinnego widzenia się żony ze skazanym na śmierć mężem.

Po upływie pół godziny wrócił Mejer po odpowiedź. Świadek P. powtórzył, że jest tylko członkiem wszechrosyjskiego związku kolejowego, jako urzędnik kolejowy, ze związkiem zaś włościańskim styczności żadnej nie ma, kwestyi agrarnej wcale nie zna. Wtedy kazano mu wyłożyć program tego związku, oraz wyjaśnić, do jakich celów związek ten dąży i jakich używa sposobów dla ich osiągnięcia.

Świadek powiedział, jakie są minimalne żądania polityczne związku.

Potem zażądano od niego, by wymienił wszystkich partyjnych robotników, należących do tego związku. Wymienił tylko siebie, co zaś do innych, to radził zwrócić się po informację do miejscowego żandarma.

Kapitan Mejer specjalnie chciał się dowiedzieć, czy Biednow i Worobjew nie należą do partii socjalistyczno-rewolucyjnej, a także kto jako bojowiec jeździł do Faustowa podczas wyżej opisanego wypadku.

Na to świadek P. nie mógł dać żadnej odpowiedzi.

Po skończonem badaniu kapitan Mejer oświadczył mu, że pozostawia go przy życiu, ale aresztuje.

Pań P. doskonale wiedział, co to znaczy być zaaresztowanym przez oddział siemionowski; znaczyło to znosić przez długie godziny katusze moralne, wisieć między życiem a śmiercią i w każdej chwili być na to przygotowanym, że otworzą się drzwi, któremi wyjdzie na egzekucję. Dlatego też zwrócił się do kapitana Mejera z prośbą, żeby go albo kazał zaraz rozstrzelać, albo puścił na wolność; odwołał się do jego ludzkości, która nie pozwala skazywać człowieka na oczekiwanie w ciągu długich godzin śmierci.

Kapitan Mejer poradził się z miejscowym „uradnikiem“ i, będąc widocznie nieco innym człowiekiem, niż jego naczelnik Riman, wrócił świadkowi P. wolność.

Podczas zbierania materyałów do opisu działalności oddziału pułku siemionowskiego na stacjach kolei Moskiewsko-Kazańskiej zdarzyło mi się od wielu świadków słyszeć o maszyniście Uchtomskim, który tak bohatersko zachowywał się w ostatnich chwilach swego życia.

Wiele szczegółów o nim dostarczyło opowiadanie kapitana pułku siemionowskiego, który go w Lubercach rozstrzelał i do ostatniego momentu obserwował.

Kapitan był nim zachwycony, a żołnierze z głębokim uznaniem patrzyli, jak umieją umierać odważni ludzie. Cześć swą dla niego wyrazili w ten sposób, że po pierwszej salwie pozostał żywym i niedrażniętym. Ani jedna kula go nie tknęła.

Ta okoliczność najlepiej dowodzi, że w chwili wykonywania wyroku wszystkich żołnierzy ożywiło jednakowe uczucie.

Uchtomski powierzchownością nie zwracał na siebie uwagi. Niewielkiego wzrostu, z żywymi, mądrymi oczyma, robił wrażenie człowieka spokojnego, a nawet nieśmiałego.

Przypadkowo, przejeżdżając kołmi przez Luberce, Uchtomski zatrzymał się w miejscowej traktyerni, nie przypuszczając nawet, że na stacyi są żołnierze. Podczas rewizyi znaleziono u niego rewolwer, zaaresztowano go i zaprowadzono na stacyę do oficera. Będąc badanym, nie powiedział swego nazwiska.

Oficer, przeglądając listę, którą miał w ręku, oraz fotografie, i porównawszy jedną z nich ze stojącym przed sobą oryginałem, zawołał:

— „Pan jesteś maszynistą Uchtomskim, będziesz rozstrzelany!“

— „Wiedziałem o tem!“— odpowiedział z zimną krwią Uchtomski.

Działo się to około godziny trzeciej po południu. Spyтали go, czy nie chce się wypowiedzieć, na co się zgodził.

Po spowiedzi został zaprowadzony razem z trzema robotnikami z lubereckiej fabryki hamulców na miejsce kaźni.

Wtedy zwrócił się do oficera, mówiąc:

— „Wiedziałem, że jeżeli dostanę się w wasze ręce, to mnie rozstrzelacie; jestem tak spokojny, ponieważ byłem w każdej chwili przygotowany na śmierć. Teraz, przed śmiercią, powiem wam, komu zawdzięczacie, że pociąg z bojowcami szczęśliwie umknął z Moskwy, ocalając głównych uczestników i prowodyrów drużyny bojowej oraz członków komitetu strajkowego.

„Kiedy już wszystkie drogi w Moskwie były zajęte przez wojsko, ja wywoziłem drużynę bojo-

wą, pomimo że około stacyi Sortirowoczej oraz z przyległych ogrodów warzywnych groziliście nam kartaczownicami.

„W tem niebezpiecznem miejscu, gdzie droga zatacza duży łuk, a całkiem odsłonięta miejscowość tak jest dogodna do obstrzeliwania pociągu z kartaczownic, pędziłem z szybkością 70 wiorst na godzinę. Ja sam wtedy kierowałem lokomotywą.

„Ciśnienie pary doprowadziłem do 15 atmosfer, t. j. do granicy wybuchu kotła. Niebezpieczeństwo groziło nam nie od kartaczownic, lecz od możliwości wylecenia w powietrze.

„I oto kiedy pociąg nasz jak strzała mknął naprzód, zagrzmiały wasze kartaczownice. Ale nie były one dla nas niebezpieczne; daleko więcej groził nam wybuch kotła i możność zlecenia z nasypu.

„Lecz zapobiegła temu doświadczona ręka maszynisty, która kierowała parą, a jednocześnie losem ludzi, których prześladowacie. Zraniliście wtedy 6 ludzi, lecz nie zabiliście żadnego. Wszyscy ocalili i znajdują się daleko... Nie dostaniecie ich!“...

Gdy przed rozstrzelaniem chciano mu zawiązać oczy, nie zgodził się na to, mówiąc, że pragnie spojrzeć śmierci prosto w oczy; nie chciał również odwrócić się plecami do żołnierzy.

Przypadkowi jego współtowarzysze rozstrzelania błagali oficerów, żeby im darowali życie, padali przed nimi na kolana, płakali. Chwila, poprzedzająca wykonanie wyroku, była straszna!

Uchtomski w milczeniu przypatrywał się przygotowaniom, a potem zwrócił się do żołnierzy: „Za chwilę, wierni swojej przysiędze, macie wykonać swój obowiązek. Wykonajcie go uczciwie, tak jak ja uczciwie wykonałem swój obowiązek,

wierny mojej przysiędze; tylko że nasze przysięgi są różne... Kapitanie, zakomenderuj!"

Rozległa się salwa... Robotnicy upadli.

Uchtomski stał nieruchomo z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Ani jedna kula go nie tknęła.

Rozległa się druga salwa. Wtedy upadł na śnieg... Ale żył jeszcze i z zupełną przytomnością, strasznym wzrokiem wodził wokoło.

Dowódca, widząc, że żyje, i pragnąc okazać się miłosiernym, zbliżył się z rewolwerem w dłoni i wystrzałem w głowę położył kres jego męczarniom.

ROZDZIAŁ V.

W Gołutwinie.

I.

Zwiedziłem miasto Kołomnę, stację Gołutwino, osadę Bobrowo i jedną z miejscowych fabryk.

Udało mi się zebrać dodatkowo interesujące szczegóły, które bardziej jeszcze oświetlają działalność oddziału Siemionowskiego, i świadczą że samowola oficerów skierowana była przeważnie przeciwko ludziom niewinnym, którzy nie brali żadnego udziału ani w komitetach, ani w zebraniach rewolucyjnych, ani w mityngach.

Najzupełniej mylnie twierdzi p. Stołypin w gazecie „Nowoje Wremia“ z d. 1. lutego, że „komitet strajkowy, złożony z 36 osób, który w związku z powstaniem zbrojnym moskiewskim kierował strajkiem kolejowym w ostatnim okresie powstania (a może nawet w ciągu całego czasu), przeniósł swą działalność do Gołutwina, skąd kierował wszechrosyjskim strajkiem kolejowym“.

Komitet taki istniał, tylko nie składał się z tych 36 ludzi, którzy, według słów Stołypina, podzieleni na 2 grupy zostali za to rozstrzelani. Przytem główną siedzibą komitetu była Moskwa, a oddziały jego znajdowały się w Lubercach i w Perowie; w Gołutwinie zaś żadnego komitetu nie było.

Następnie według zebranych przeze mnie danych okazuje się, że rozstrzelano daleko więcej niż 36 osób, a mianowicie: 27 w Gołutwinie, 14 w Lubercach, 3 na stacyi Aszytkowo i 20 na stacyi Perowo; zatem rozstrzelano ogółem 64 osób.

Prowodyrzy i główni uczestnicy komitetu nie zostali ujęci i rozstrzelani. Za dowód służyć może mowa pułkownika Rimana do miejscowych włościan, wypowiedziana przed jego wyjazdem z Luberc:

— „Cesarz mnietu przysłał, bym przywrócił spokój i porządek. Lecz nie wszyscy jeszcze prowodyrzy są schwytani; wielu z nich zbiegło i ukryło się. Cesarz liczy na was, że sami będziecie baczli na porządek i nie dacie się obalamucić garstce rewolucjonistów. Jeżeli tu podżegacze powrócą, zabijcie ich, zabijcie czem się da — toporem, pałką. Nic wam za to nie będzie. Jeżeli sami nie dacie rady, wezwijcie nas; przyjedziemy!“

Z przemówienia tego widać, że komitet nietylko nie został rozstrzelany, ale nawet powrót jego nie był uważany za niemożliwy.

Zupełnie niezgodną z prawdą jest również podana przez p. Stołypina wiadomość, że pociąg z bojownikami przemknął się koło Gołutwina ku Moskwie i że po sąsiedniej linii z szybkością 120 wiorst na godzinę pędził za nim pociąg z żołnierzami siemionowskimi; że w oknach tego pociągu były ustawione kartaczołnice, z których ostrzeliwano pociąg z powstańcami, gdy został dopędzony; że jakoby zabito 80 osób w tym pociągu.

Wszystko to bajki. Prawdą jest to tylko, że po krwawej rozprawie w Gołutwinie na stacyę przybył pociąg wojskowy, powracający z Mandżuryi. Kiedy żołnierze dowiedzieli się o zaszyłych gwałtach, zaczęli czynić siemionowcom wyrzuty i łajać

ich. Rozdrażnienie z każdą chwilą wzrastało. Na peron wyszedł Riman i groźnie zawołał: „Co to ma znaczyć? Na miejsca!“...

W odpowiedzi na to dały się słyszeć nowe wymysły, drwiny i gwizdanie.

Wtedy Riman zakomenderował: „Kartaczownice naprzód!“

Oficer, który prowadził pociąg wojskowy, wiedząc doskonale, jak wielki jest brak dyscypliny w wojskach mandżurskich, a zarazem jak bezwzględne okrucieństwo żołnierzy pułku Siemionowskiego, co prędzej poskoczył ku lokomotywie i rozkazał maszyniście natychmiast odjechać ze stacyi. Lokomotywa właśnie nabierała wodę; maszynista odpowiedział, że bez wody nie pojedzie, lecz zniewolony przez oficera ruszył. W ten sposób pociąg wojskowy uniknął straszego losu, który go mógł spotkać. Nikt go gonił i nikt nie został zabity.

Potem Riman natychmiast telegrafował, żeby więcej pociągów do Moskwy nie wysyłano. Był już na odjezdnem pociąg sanitarny z rannymi. Pod groźbą rozstrzelania nie ruszył się z miejsca. Szczegóły te, obalające wiadomość, podaną przez Stółpina, są zupełnie wiarogodne, gdyż zawdzięczam je bądź naocznym świadkom, bądź tym, którzy widzieli się i rozmawiali z Rimanem oraz innymi oficerami.

Załączam listę osób zabitych w Lubercach. Ogółem zabito tam 14 osób. Lista nie jest zupełną, obejmuje tylko 8 osób; spisu pozostałych obiecano mi później dostarczyć.

Zabici:

- 1) Ladin, robotnik z amerykańskiej fabryki hamulców.

- 2) Funtow, robotnik z tej samej fabryki.
- 3) Kryłow, robotnik z tej samej fabryki.
- 4) Noskow, robotnik fabryczny.
- 5) Dubinkin, robotnik fabryczny.
- 6) Michelson, właściciel kilku domków w Luberbach oraz buchalter na kolei Moskiewsko-Kazańskiej.
- 7) Uchtomski, maszynista moskiewskiego depo.
- 8) Smirnow, pomocnik zawiadowcy stacyi.

Badalem i zapisałem zeznania 14 osób; notowałem wszystko z jak najbardziej drobiazgową dokładnością.

Na podstawie tego obfitego i bogatego materiału udało mi się zedrzeć zasłonę z okropnego obrazu, z którego widać, że wystarczył drobny wypadek, albo rozdrażnienie oficera, a nawet jakaś ironiczna uwaga ze strony zaaresztowanych, aby stali się pastwą śmierci przez rozstrzelanie!

W początkach mówiono, że siemionowcy rozstrzelują ludzi na kolei Kazańskiej według jakiejś tam listy, i nawet powiadano, że podług listy moskiewskiego wydziału ochrony.

Gdyby tak było, gdyby siemionowcy kierowali się tylko listą, to w Gołutwinie nie byłoby przypadkowych, niewinnych ofiar. Lista ta, jakkolwiek ułożona przez jedną z instytucyi, w których panuje samowola i widzimi się, jednak w tej sprawie zapewniłaby bezpieczeństwo życia kilkunastu osobom, zabitym w Gołutwinie.

Badani przeze mnie świadkowie prosili, abym nie ogłaszał drukiem ich nazwisk, gdyż to mogłoby ściągnąć na nich gniew władzy i nowe przykre następstwa. Winienem dodać, że po tych wypadkach mieszkańcy miejscowi byli niesłychanie te-

roryzowani i zbieranie wiadomości napotykało znaczne przeszkody.

Podczas pobytu swego w Gołutwinie zetknąłem się tam z adwokatem przysięgłym, p. Ł., którego w tej samej sprawie wydelegowała moskiewska rada adwokatów przysięgłych dla pociągnięcia oficerów pułku Siemionowskiego do odpowiedzialności sądowej za zabójstwa, a zarazem zmuszenia ich do zwrotu strat na rzecz rodzin poszkodowanych.

Zebrany przez niego materiał sprawdziłem ze swoim, a potem prowadziliśmy badanie wspólnie, tak iż dokładność niniejszego sprawozdania i prawdziwość zebranych faktów nie ulegają wątpliwości.

Z początku naszkicuję ogólny obraz od chwili, gdy siemionowcy zjawili się na stacji Gołutwino, aż do czasu ich wyjazdu, a następnie przytoczę oddzielne najważniejsze zeznania.

Nie spodziewano się siemionowców na stacji.

Wogóle nie spodziewano się żadnego pociągu, ponieważ ze stacji, z której wyszedł pociąg, nie dano znać o tem. Dlatego też ich przyjazd był dla wszystkich zupełną niespodzianką.

Pociąg, składający się z trzech wagonów i jednej lokomotywy, cicho wjechał na stację 31 grudnia, około godziny drugiej po południu. Lokomotywą kierowali, zamiast mechanika i palacza, żołnierze batalionu kolejowego. W wagonach znajdował się tenże batalion pod dowództwem porucznika Kostienki.

Kiedy pociąg podjeżdżał do stacji i zwolnił biegu, żołnierze zaczęli zeń zeskakiwać, nie czekając aż stanie, obstawili przejazd do fabryki kołomeńskiej, rozsypali się po drogach, wiodących

na stację, i otoczyli wszystkie tory zapasowe, stację oraz sąsiednią drogę.

W tem kole znalazło się około 300 osob, które sprowadzono na stację.

Na peronie było dużo ludzi, lecz wszyscy cofnęli się do dworca.

Potem wyszedł pułkownik Riman z żandarmami moskiewskimi, którzy zaczęli wskazywać wszystkie drzwi i opowiadać, które dokąd prowadzą, tak iż widać było, że już naprzód znali dobrze rozkład dworca kolejowego.

Przy wszystkich wejściach i wyjściach postawiono wartę; główne zaś wyjście na ulicę było zabite jeszcze przed przybyciem siemionowców.

Dyżurnym na stacji był wtedy Tupicyn. Zatrzymano go w pokoju dyżurnym, a dyżur polecono objąć Klimowowi. Tupicynowi nie wolno było opuszczać pokoju.

Na stacji wówczas znajdował się jej zawiadowca Nadieżyn, który przyszedł po jakieś proszki, ponieważ był chory i jeszcze w przeddzień kazał zastąpić siebie drugiemu pomocnikowi Nikitinowi.

Aresztowanego Tupicyna żołnierze zaprowadzili teraz do biura towarowego, gdzie znajdował się pułkownik Riman z 5—6 oficerami. Jeden z nich zaprowadził Tupicyna do ściany, gdzie przyklepiona była następująca depesza:

„Stacya. Golutwino. Przepuścić pociąg towarowy“—podpis: „Komitet strajkowy“,—i zapytał: „Co to za depesza? Gdzie jest wasz komitet strajkowy?“

Wtedy podszedł zawiadowca stacji Nadieżyn i mówiąc: „Oto jeszcze są depesze!“—wyjął z kieszeni jeszcze kilka sztuk, które otrzymał w ciągu osta-

tnich dni, prócz tego zdjął jeszcze całą paczkę takich depesz z haczyka i oświadczył: „Komitetu strajkowego w Gołutwinie niema i nie było. Depesze te przysyłano nam ze stacyi, z której pociągi wyruszały, a gdy nam dawano znać, że taki a taki pociąg wyruszył, to przyjmowaliśmy go i wyprawialiśmy w dalszą drogę. O wszystkim, co się działo, zawiadamialiśmy swoją władzę w Moskwie, ale odpowiedzi nie otrzymywaliśmy. Nie otrzymywaliśmy również żadnych rozporządzeń ani wskazówek z Moskwy. Naczelnik depo może zaświadczyć, że tu żadnego komitetu strajkowego nie było“.

Wtem jakiś oficer zbliżył się do Tupicyna i rzekł: „Gdzie jest komitet? Zwracam uwagę pańską, że jeżeli pan nie powiesz, gdzie jest komitet, to grozi ci rozstrzelanie!“— „Nie mieliśmy żadnego komitetu, nic o nim nie wiem!“—odpowiedział na to Tupicyn.

Wtedy podszedł drugi oficer, brunet małego wzrostu, i rzekł ostrym tonem: „Po co go wypytywać. Na jedną kupę go wraz z innymi!“

Ale pułkownik Riman ozwał się: „Daję panu pół godziny czasu do namysłu, poczem będziesz pan rozstrzelany!“

O tym oficerze, brunecie małego wzrostu (nazwiska jego nie udało mi się dowiedzieć), opowiadają, że robił wrażenie figury podejrzanej i że nie należał do grona oficerów pułku Siemionowskiego, chociaż miał na sobie ich mundur. Wyróżniał się bardzo małym wzrostem i zachowaniem swoim względem oficerów; jeden ze świadków, p. W., utrzymuje, że go gdzieś przedtem widywał, lecz nie pamięta gdzie, i że twarz jego nie jest mu obca. Obejście tego oficerka z rewii-

dowanymi było wyzywające i szorstkie — łajał ich.

Podczas gdy Tupicyn znajdował się między życiem a śmiercią, a dane mu do namysłu pół godziny pędziło lotem strzały, Riman poszedł do pokoju dyżurnego, dokąd żołnierze sprowadzili mu maszynistę depo gołutwińskiego — Warłamowa.

W czasie rewizyi znaleziono u niego rewolwer ze złamanym kurkiem. Nie chciał go oddać żołnierzom, mówiąc, że z rewolweru tego nie można strzelać i że niósł go właśnie do naprawy. Warłamow w żaden sposób nie mógł pojąć nielogicznego żądania żołnierzy, żeby im oddał uszkodzony rewolwer i sprzeczał się z nimi.

Kiedy go zaprowadzili do dyżurnego pokoju do pułkownika Rimana, świadek W. słyszał, jak Warłamow mówił:

— „Niech pan pozwoli mi się wytłumaczyć. Jestem maszynistą kolejowym, nazywam się Warłamow...“

Pułkownik przerwał słowami: „Rozstrzelać go!“ i kazał go wyprowadzić na ganek kuchenny. Żołnierze poszli przez salę klasy 3-ej. Tuż za nimi kroczył Riman. Nikt nie wierzył, żeby Warłamowa miano istotnie rozstrzelać, a już najmniej on sam, to też spokojnie przeszedł przez znajdujący się w sali tłum. Lecz jakież było przerażenie wszystkich, kiedy najwyraźniej z ganku kuchennego dały się słyszeć dwa wystrzały rewolwerowe.

Już nie mogło być wątpliwości!

Wracając na salę z rewolwerem w rękę, Riman zetknął się przy bufecie z zapasowym feldweblem 1-ej rotы Iljiczewem, który dopiero co powrócił z Mandżuryi. Co zaszło, tego nikt nie umiał

dokładnie wyjaśnić; stało się to zbyt prędko, niespodziewanie... i tragicznie.

Jedni utrzymują, że Iljiczew nie usunął się, drudzy, że nie salutował, inni wreszcie, że Riman przyrzepił się do niedbałego jego ubrania.

Świadek W. wyraźnie słyszał, że w odpowiedzi na jakieś słowa Iljiczewa pułkownik krzyknął:

— „Niech się kto ośmieli choć słowo powiedzieć, zastrzelę!“ — poczem nastąpiły 4 wystrzały rewolwerowe.

Pierwsza kula trafiła nieszczęsnego w skroń, a pozostałe w tylną część głowy, gdyż wówczas feldwebel upadł już twarzą ku ziemi.

Rozległa się komenda: „Ręce do góry!“ i zaczęła się rewizya.

Riman z żołnierzami stał w korytarzu, oddzielającym biuro telegraficzne od tylnego wyjścia. W tym korytarzu było tylko dwoje drzwi. Drzwi na prawo prowadziły ku wyjściu na ulicę. Przez te drzwi przechodzili ci wszyscy, których uwalniano.

Lewe drzwi prowadziły do biura telegraficznego, gdzie nieszczęsnych oczekiwała śmierć. Nikt z wchodzących tu nie przypuszczał, że to już ostatnie pół godziny jego życia. Świadek K., który wszedł do pokoju, sąsiadującego z biurem telegraficznym, widział przez okienko, przez które się podaje depesze, 10—12 ludzi, którzy spokojnie rozmawiali ze sobą i żartowali. Liczyli na to, że ich zaraz uwolnią. W tym samym pokoju widział świadek K. również zawiadowcę stacyi Nadieżyna i pomocnika Szełuchina.

W korytarzu, gdzie robiono rewizyę, znajdowali się prócz Rimana jeszcze żandarmi moskiew-

scy, miejscowy isprawnik, dwóch policyantów i żandarmi miejscowi.

Podczas rewizji w mieszkaniu Potapowa, oficyalisty w sklepie fabrycznym, znaleziono przepisany jego własną ręką manifest z różnemi żartobliwemi uwagami.

Oficer pokazał znaleziony papier Rimanowi a ten, przyłożywszy rewolwer do twarzy Potapowa, zaczął krzyczeć:

— „Zastrzele! Siwe masz włosy, a jesteś rewolucjonistą!“

Ujął się za nim komisarz pierwszego okręgu Engielejko, mówiąc:

— „Służę tu 17 lat i znam go jako jednego z najlepszych i najspokojniejszych ludzi. Jeżeli takich będzie się rozstrzeliwało, to już chyba wszystkich trzeba rozstrzelać“.

Inny oficer zwrócił się do Rimana po francusku i coś mu powiedział.

Riman zaczął mówić nieco łagodniejszym tonem: „Ja pana rozstrzelam — wy wszyscy mówicie, że jesteście niewinni“ przyczem opuścił rewolwer, ale w gniewie uderzył Potapowa trzy razy w twarz, wprawdzie nie bardzo mocno, jak mówi świadek, ale zawsze tak, że koło nosa krew mu wystąpiła. „Przysięgnij pan, że nie powstaniesz przeciwko Cesarzowi!“ — rzekł Riman. Potapow odpowiedział, że może z czystym sumieniem to uczynić, gdyż nigdy nie powstawał przeciwko Cesarzowi i nadal nie ma zamiaru tego robić. Wtedy Riman na pożegnanie dał mu jeszcze raz w kark i puścił przez prawe drzwi.

Tymczasem skończył się termin, dany Tupicynowi do namysłu. Riman wszedł do biura towarowego i zapytał: „No jakże? Zdecydował się

pan wskazać, gdzie znajduje się wasz komitet strajkowy?”

Tupicyn jeszcze raz powtórzył, że takiego komitetu niema i nie było i ze drżeniem oczekiwał swego losu.

Zamieniwszy po francusku parę zdań z oficerami, Riman pozwolił mu wyjść przez prawe drzwi i Tupicyn znalazł się na wolności.

Rewizya miała się ku końcowi, na dworcu było już niewiele ludzi. Między innymi poddano z kolei rewizyi pomocnika zawiadowcy stacyi Szeluchina i wskazano mu drzwi na lewo. Podczas rewizyi nic u niego nie znaleziono.

Po zrewidowaniu zawiadowcy stacyi Nadieży-na, wskazano mu drzwi na prawo, lecz musiał dać wprzód słowo honoru, że niezwłocznie stawi się na pierwsze wezwanie Rimana. I rzeczywiście, po upływie godziny został wezwany z powrotem; tym razem wskazano mu drzwi na lewo.

Czyż to ma być odpowiedź?

Redakcja „Rusi“.

W odpowiedzi na oskarżenia władzy ze strony prasy o krwawe znęcanie się oraz o wszelkie możliwe nadużycia administracyjne, Dubasow rozkazał odbierać czytelnikom wszystkie te numery gazet, w których były opisane fakta i przytoczone dowody, oświetlające zarówno osobiste jego czyny, jak i działalność władz jemu podległych.

W numerze wczorajszym „Rusi“ (26 stycznia st. st.) wydrukowaliśmy list p. Władimirowa o za-

bójstwach i rozstrzelaniach w Gołutwinie. Dziś telegrafują do nas z Moskwy, że numer ten został tam skonfiskowany z rozporządzenia generał-gubernatora.

Czyż to ma być odpowiedź?

ROZDZIAŁ VI.

W tym samym czasie, gdy opisane powyżej wypadki działy się na dworcu kolejowym w Gołutwinie, druga część oddziału pułku Siemionowskiego skierowała się do mieszkań robotniczych fabryki kołomeńskiej budowy wagonów pana Struwego. Mieszkania te znajdują się we wsi Bobrowo, graniczącej ze stacją.

Główna uwaga oddziału była zwrócona na mieszkanie p. Dorfa, zarządzającego teatrem Towarzystwa zabaw ludowych.

Założycielem i prezesem tego towarzystwa był fabrykant Struwe. W teatrze tym, w którym mogło się pomieścić do tysiąca osób, odbywały się za zezwoleniem policyi mityngi ludowe. Robotnicy chodzili na te zebrania chętnie i bardzo lubili słuchać zarówno swoich mówców, jak i mówców z inteligencji. Do tych ostatnich należał zabity pomocnik adwokata przysięgłego Tararykin.

Ostatnie trzy mityngi odbyły się bez pozwolenia policyi i prezesa towarzystwa; tłum wybił szybę we drzwiach, odsunął zasuwkę i w ten sposób wbrew woli zarządzającego Dorfa dostał się do środka.

Mamy pewną podstawę do przypuszczenia, że zarówno na ten teatr, jak i na działaczy, mających z nim związek, była zwrócona szczególna uwaga tych,

którzy informowali oddział i układali listę. Władze przypuszczały, że tutaj odbywały się posiedzenia komitetu strajkowego, że tu prowodyrzy i mówcy agitowali i, wpływając przemówieniami swojemi na pozbawionych pracy ludzi, pobudzali ich do wzięcia udziału czynnego w powstaniu zbrojnym.

W rzeczywistości jednak, jakem to już wyżej powiedział, nic podobnego nie miało miejsca. Na podstawie jak najdokładniejszych badań oraz zeznań bardzo wielu osób, będących w blizkiej łączności z ruchem wolnościowym i postępowym, przyszedłem do przekonania, że nikt z pośród robotników fabryki kołomeńskiej nie należał do moskiewskiego komitetu strajkowego, i że fabryka kołomeńska była zamknięta przez administrację fabryczną nadługo przed ogłoszeniem strajku powszechnego 20 grudnia, a przeto robotnicy tej fabryki nie mogli zorganizować się w związek.

Jeszcze w początkach listopada robotnicy z kuzni parowozowej prosili administrację, żeby im podwyższyła płacę zarobkową. Do żądania tego przyłączyli się wszyscy inni robotnicy z tejże fabryki, w ogólnej liczbie około 7 tysięcy, i postawili jeszcze żądania dodatkowe, aby usunięto kilku najbardziej znienawidzonych przez robotników majstrów.

Administracja żądań tych nie uwzględniła, a kiedy robotnicy, urządziwszy komiczny demonstracyjny pochód z maszerowaniem z miotłami, gałganami i śpiewami pogrzebowymi, wywieźli zarządzającego warsztatami wagonowymi majstra Jakobsona w taczkach za bramę, postanowiła zamknąć fabrykę do Bożego Narodzenia.

W czasie tych nieporozumień administracji z robotnikami, na żądanie pierwszej wybrani zo-

stali z pośród robotników delegaci dla prowadzenia układów. Zatrzymałem się trochę dłużej na tych szczegółach, żeby czytelnikowi jak najwyraźniej pokazać, że w czasie wypadków w Gołutwinie fabryka kołomeńska nie strajkowała bynajmniej ani z inicjatywy, ani z decyzji robotników. Przerwanie pracy nastąpiło wskutek uchwały administracyi, a nie robotników; w łonie robotników nie było zorganizowanego komitetu strajkowego, któryby postanowił zamknąć fabrykę i rządził albo kierował działalnością robotników.

Władzy wystarczało, że w teatrze odbywały się mityngi przy wielkim napływie ludności, by uważać go za ognisko buntu i rewolucyi.

Dlatego też żołnierze oddziału karnego największą uwagę zwrócili na tych, którzy brali udział w mityngu, i rozpoczęli działalność swą od tego, że otoczyli dom p. Dorfa, jako zarządzającego teatrem, i zrobili u niego jak najbardziej szczegółową rewizyę.

Kiedy oficer wszedł do jego domu i zapytał: „Gdzie jest student Sapożkow?” Dorf wskazał młodzieńca, a żołnierze rzucili się na niego. Szarpano go tak gwałtownie, że pani Dorfowa aż zwróciła się do żołnierzy ze słowami: „Za co go tak szarpiecie? Dzieci mi przestraszycie!”

Wtedy wyprowadzono go na podwórze i otoczono konwojem.

Oficer zwrócił się do Dorfa zapytaniem:

— „Gdzie pan masz broń?”

Otrzymawszy od Dorfa odpowiedź, że broni nie ma, rozpoczął rewizyę i z za pieca wyciągnął 2 rewolwery.

Rewolwery te należały do gości, którzy przyszli na herbatę.

Prócz Sapożkowa byli obecni: pomocnik adw. przysięgłego Tararykin, robotnik Zajcew, student Świszczow, syn lekarza kołomeńskiego, robotnik Czudinow i pani Krasnowa.

Znalazłszy rewolwer, oficer kazał burzyć piece. Kiedy pod zgodnym naciskiem bagnetów cegły zaczęły lecieć w różne strony, oficer z obawy wybuchu, w razie gdyby tam znajdowały się bomby, kazał działać z większą ostrożnością.

Nie znaleziono ani bomb, ani nawet nie podejrzanego w notatkach, listach i książkach.

Zajcewa, Czudinowa, Świszczowa i Krasnową wypuścili na wolność, a Dorfa, Sapożkowa i Tararykina odesłali pod eskortą na stację do oddziału telegraficznego, z którego już nie powrócili.

Kiedy ich wyprowadzili, pani Dorfowa zwróciła się do jednego z żołnierzy, mówiąc:

— „Co to wszystko znaczy, czego tu chcecie? I tak w całej Rosyi krew się leje!.. Czy za mało jej jeszcze przelano?“

— „Zobaczy pani dopiero, ile dziś jej popłynie“ — odrzekł żołnierz.

Po ukończeniu rewizyi w mieszkaniu Dorfa zrewidowano teatr, w nadziei znalezienia tam składu broni, lecz nic nie znaleziono. Potem uległy rewizyi prywatne mieszkania robotników a między innymi mieszkanie Czudinowa, gdzie mieszkał robotnik Zajcew, dopiero co wypuszczony z mieszkania Dorfa. Zajcew poprzedniego dnia dopiero wypisał się ze szpitala i, czując się jeszcze chorym, leżał na kanapie u Dorfa, gdy przyszli żołnierze. Wtedy go uwolniono, lecz za drugim razem po rewizyi w jego własnem mieszkaniu odesłano go do oddziału telegraficznego, skąd już nie powrócił.

Między innemi opowiadają, że żołnierze, wkroczywszy do pewnego mieszkania i obejrzawszy lokal oraz ściany, zwrócili się do gospodyni, mówiąc: „Bardzo podejrzane mieszkanie: dużo obrazów rozwieszono po ścianach, a Cesarza nie ma! Trzeba dobrze je zrewidować!“ Kiedy żołnierze odeszli, nie znalazłszy nic podejrzanego, przerażona gospodyni pobiegła prędko do sąsiadów i wyprosiła portret cesarski, który przybiła na najbardziej widocznym miejscu; dopiero wówczas poczuła się bezpieczną.

Podczas rewizji u Sidorowa znaleziono trzy puste gilzy do naboju. Był on robotnikiem w fabryce kołomeńskiej i miał dopiero lat 17. Nie brał udziału w żadnych zebraniach ani mityngach, do bojowców nie należał. Był to chłopiec cichy i skromny.

Musimy zauważyć, że wśród robotników fabryki kołomeńskiej zorganizowana była własna drużyna dla obrony przeciwko czarnej secinie, która raz napadła na gmach zarządu miejskiego, w chwili gdy tam, za pozwoleniem miejscowej policji, odbywał się mityng ludowy. Czarnoseciny wybiłi wszystkie szyby i grozili spalaniem gmachu. Policja musiała się w to wdać i dzięki czynnemu udziałowi „isprawnika“ obeszło się bez ofiar w ludziach.

U robotnika Starostina zrobiono bardzo powierzchowną rewizję; nic nie znaleziono; mówili o nim robotnicy, że wydawał im się podejrzanym, gdyż był szpiegiem policyjnym i jeszcze wprzód dużo ludzi przez niego ucierpiało; w ostatnich czasach bardzo się zmienił, bywał na mityngach, miewał mowy i robotnicy zaczęli innem okiem na niego spoglądać. Do drużyny nie należał. Jego

także poprowadzono na telegraf, lecz dlaczego — nikt na to nie umiał odpowiedzieć.

Podobniez nielubionym z początku robotnikiem był Mielnikow; potem go wybrali jako delegata. Brał udział w mityngach i czasem miewał mowy. Rewizya nie u niego nie wykryła. Odesłano go jednak do tego samego oddziału telegraficznego. Co się tyczy rysownika fabryki kołomeńskiej Abramowa, to świadkowie zeznali, że nie brał udziału ani w mityngach, ani w zebraniach, ani do drużyny nie należał. Miał dopiero 17 lat. Dnia tego powracał około godziny 3-ciej nad ranem z biura fabrycznego do domu, do wsi Bobrowo. Nic nie wiedząc o przyjeździe żołnierzy, spokojnie rozmawiał ze swoim kolegą. W tej chwili w pobliżu rozlega się okrzyk żołnierza: „Stój! Ręce do góry!“ Abramow szedł dalej, nie zwróciwszy na to uwagi. Żołnierz dopędził go, schwycił za kołnierz i wyprawił do oddziału telegraficznego. A potem go także rozstrzelano.

Robotnik Puszkow, przechodząc z dwoma towarzyszami przez przejazd, został zatrzymany po raz 7-my przez żołnierzy. Za każdym razem rewidowali go i puszczaali. Nieprzyjemna ta procedura zaczęła go niecierpliwić i kiedy go po raz ostatni zrewidowano i puszczoneo, nie wytrzymał i, chcąc zażartować, powiedział: „Dziesięć razy mnie już rewidowaliście, nie zajrzeliście jednak do czapki, a tam jest bomba“.

Natychmiast go zatrzymali i odesłali do oddziału telegraficznego, gdzie oczekiwała go śmierć.

Syn pomocnika majstra fabryki kołomeńskiej Stopczuk podczas przechadzki z żoną został zatrzymany i zrewidowany. Nic przy nich podejrzanego

go nie znaleziono i chciano już puścić, gdy wtem jeden z żołnierzy zapytał go o nazwisko.

Usłyszawszy nazwisko „Stopezuk“, natychmiast go zaaresztowali i odesłali do oddziału telegraficznego. Żonę puścili do domu. Żegnając się, Stopezuk uspokajał ją, mówiąc, że to jest nieporozumienie, że oficer go w tej chwili uwolni, gdyż on nie należał do żadnych partyi i związków, ani nie brał udziału w mityngach. Nie powrócił jednak do domu.

Według zeznań świadków rozstrzelano go istotnie wskutek nieporozumienia, przez omyłkę. Naza jutrz pomyłka ta została stwierdzoną, gdy do oficera przyszedł stary Stopezuk i zapytał:

— „Za co zabiliście mi syna?“

— „Za to“ — odpowiedział oficer — „że należał do komitetu strajkowego, brał udział w mityngach, zebraniach i związkach“.

Starzec odparł na to, że syn ten był zupełnie niewinny, gdyż nietylko nie brał w tem wszystkim najmniejszego udziału, lecz nawet unikał wszelkich zebrań i był im przeciwny. — „Ale mam drugiego syna, który rzeczywiście bywał na zebraniach i mityngach i nawet przemawiał“.

— „Smutne nieporozumienie“ — odrzekł na to Riman — „to teraz trzeba tamtego zabrać i rozstrzelać!“ Lecz było już za późno, gdyż tamten się ukrył. Obecnie go poszukują.

Ofiarą podobnej omyłki rozstrzelania „wskutek nieporozumienia“ padł również student Sapożkow. Zabito Aleksandra Sapożkowa, który był zupełnie niewinny. Miejscowa policja miała o nim jak najlepszą opinię, jako o spokojnym i nie niebezpiecznym człowieku. Żołnierze poszukiwali jego brata, Mikołaja Sapożkowa, który fi-

gurował na liście wydziału ochrony; nie znaleźli go jednak i, wyjeżdżając, polecili miejscowej władzy policyjnej, aby dalej prowadziła poszukiwania. Dotąd Mikołaja Sapożkowa nie znaleziono pomimo 200 rubli nagrody przeznaczonej temu, kto wskaże policyji, gdzie się znajduje.

Tylko szczęśliwemu wypadkowi Mikołaj Sapożkow zawdzięcza ocalenie swego życia, które już wisiało na włosku. Oto w chwili, gdy żołnierze, głośno krzycząc, zapytywali pewnego obywatela na ulicy we wsi Bobrowo: „Gdzie jest Sapożkow? wskaż, gdzie jest Mikołaj Sapożkow, bo jak nie, to cię zastrzele!“ — Sapożkow właśnie ich mijał, zachowując godny podziwu spokój i zimną krew.

Miejscowe władze policyjne go nie poznały, gdyż był ubrany w długie futro i wysoką czapkę futrzaną.

Wypadki te następowały po sobie z nadwyzającą szybkością. W ciągu jakich 2 — 3 godzin wszystkie rewizye były ukończone. Do pokoju, gdzie mieścił się telegraf, dostawiono 24 ludzi. Nikt z nich nie wiedział, za co jest aresztowany. Z obojętnością i spokojem zdali się na los, licząc na to, że ich zawołają do oficera, który im wyjaśni przyczynę aresztu.

Czyż mógł się spodziewać rysownik fabryczny Płotnikow, że go zabiją za narzekanie na ciągłe rewizye osobiste, na które był narażony, wracając z fabryki do domu? Wszak nie popełnił żadnego przestępstwa, a jeżeli rozgniewał żołnierza, który go posłał do oddziału telegraficznego, to tylko dlatego, że jego również wyprowadzili z równowagi żołnierze niepotrzebnymi, ciągłymi i w grubiański sposób dokonywanymi rewizjami.

Podobnież wszyscy inni nie poczuli się po większej części albo do żadnej winy albo, co najwyżej, do winy, popełnionej wskutek zbytniego zaufania do reform wolnościowych, ogłoszonych przez manifest cesarski z d. 30 października. To też nikt z aresztowanych nie przypuszczał ani na chwilę, że może być skazany na śmierć bez sądu i śledztwa, bez modlitwy i komunii, bez pożegnania z żoną i dziećmi, bez wypowiedzenia ostatniej woli.

O godzinie piątej po południu pułkownik Riman, ustawivszy na peronie żołnierzy w szereg, wywołał z telegrafu 12 ludzi i rozkazał im iść za sobą pod konwojem na tory zapasowe aż do budki sygnałowej. Nieszczęśni sądzili, że prowadzą ich do wagonu, żeby powieźć do Moskwy na badanie. Stróż N., otworzywszy drzwi na peron, przepuścił nieboraków również przekonany, że ich wywożą do Moskwy. Aresztowani rozmawiali z sobą z zupełnym spokojem.

Stróż nie śmiał iść za nimi, lecz uchylivszy drzwi, nasłuchiwał. Po upływie kilku minut do uszu jego doszły dwie salwy a potem cały szereg pojedynczych wystrzałów. Zrozumiał wtedy, co zaszło.

Kiedy aresztowani przeszli około 70 sążni od stacyi na prawo, ku Ruzajewce, gdzie na torach zapasowych stały próżne wagony, i zrównali się ze składem węgla, nie dochodząc do budki sygnałowej, dano do nich na komendę pułkownika jedną salwę, potem drugą, a gdy wszyscy upadli i wili się na śniegu, brocząc krwią, dobito ich oddzielnymi wystrzałami.

Kiedy zaś wszystko umilkło i ciemna, milcząca noc zakryła przed oczyma ludzkiemi popełnioną

zbrodnię, staruszek pop, ojciec Winogradow, po odprawieniu nabożeństwa wieczornego, wyszedł z cerkwi, znajdującej się niedaleko od miejsca zbrodni i, usłyszawszy wystrzały, przeżegnał się. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że to zabijano niewinnych ludzi. Nie przypuszczał, że nazajutrz na stacyi Aszytkowo zabiją w taki sam sposób jego rodzzonego syna. A jednak wszystko to się stało. Nazajutrz o godzinie 10-ej zrana zabito syna jego, zawiadowcę stacyi Aszytkowo.

Zabito go w jeszcze prostszy sposób: zabrawszy go z mieszkania, w którym nic nie znaleziono, kazano mu iść z oficerem i żołnierzami. Poprowadzono ku pustym wagonom, a gdy się zrównał z nimi, kazano mu iść dalej w stronę lasu. Kiedy uszli kilkadziesiąt kroków w tym kierunku, bez komendy, tylko na skinienie ręki pułkownika żołnierze dali salwę i nieszczęsny padł trupem.

O działalności oddziału w Aszytkowie opowiem osobno, a teraz powrócę do tych 12 ludzi, którzy pozostali w oddziale telegraficznym.

Stróż przypuszcza, że oni nie słyszeli salwy, a jeżeli słyszeli, to nie przeczuwali, jaki straszny los ich czeka!... Nie przypuszczali, że można zabijać ludzi bez sądu! Dopiero przybywszy do tego samego składu węgla i natknąwszy się po ciemku na zwłoki zabitych, zrozumieli, co ich czeka...

Lecz było już za późno; salwa jedna za drugą nie dały już im rzec słowa, wydać dźwięku...

A szereg oddzielnych wystrzałów, prędko po sobie następujących, zakończył ich męczarnie na wieki...

Widziałem to miejsce, gdzie zabito tych 24 zupełnie niewinnych ludzi. Na ściance z cegiełek węglowych widać dziury od kul. Najwięcej ich

jest na wysokości połowy wzrostu. Prawdopodobnie strzelano im w brzuch.

Około godziny 6-ej zakończył pułkownik Riman swą działalność na dworcu kolejowym. Nikt, prócz działaczy czynnych, nie wiedział o tem, co się stało. Wszystkie wdowy i sieroty były głęboko przekonane do samego rana, że ich mężowie, ojcowie i bracia są aresztowani, i że dlatego nie mogli powrócić na noc do swoich rodzin.

Wdowa Dorfowa, jako dobra gospodyni, około 9-ej wieczorem pomyślała o swoim mężu i gościach, których zaaresztowano w jej mieszkaniu, zatroszczyła się, że cały dzień siedzą bez jedzenia, przygotowała kolację i przez starszego syna, dwunastoletniego chłopczyka, posłała na stację kolację na cztery osoby. Wkrótce chłopiec wrócił z kolacją i powiedział, że na stację nikogo nie wpuszczają. Spokojnie położyła się wdowa Dorfowa spać, nie wiedząc nic o strasznem niesczęściu, które ją spotkało.

Żona zawiadowcy stacyi na trzy dni przed tymi wypadkami przeprowadziła się do mieszkania rewizora ruchu, położonego na 3-ciem piętrze dworca nad salą I-szej klasy.

Z okien tego mieszkania doskonale widać to miejsce, gdzie rozstrzelano jej męża oraz innych. Nie przypuszczając jednak możności rozstrzelania, nie zwracała uwagi na to, co się działo w okolicy dworca. Była głęboko przekonana, że mąż jej, będąc zupełnie niewinnym, nie mógł uleść takiemu strasznemu wypadkowi. Nadieżyn służył na kolei Moskiewsko-Kazańskiej 36 lat i był znany swej władzy jako dobry i wierny służbista. Z powodu 30-letniego jubileuszu otrzymał od swojej władzy złoty zegarek z napisem i złotą de-

wizką, z okazji zaś 35-letniego jubileuszu otrzymał złoty żeton, na mocy którego miał prawo jeździć bezpłatnie w klasie I-ej na liniach towarzystwa kolei Moskiewsko-Kazańskiej. Wreszcie w styczniu r. 1905 przysłano mu z Petersburga dyplom obywatela honorowego za wzorową i jak najgorliwszą służbę.

Nie wiem w jakim celu, w czasie przejazdu ministra komunikacyi Niemieszajewa przez stację Gołutwino 3 lutego r. b., dyrektor kolei p. Szestakow na zapytanie ministra, ile lat służył Nadieżyn, odpowiedział, że Nadieżyn przesłużył na tej drodze 27 lat, a kiedy jeden z oficyalistów zwrócił uwagę, że przesłużył 36 lat, Szestakow ostro odparł:

— „Osobiście sprawdzałem z formularzem, Ekselencyo, a tam jest zapisane 27 lat urzędowania“.

Usłyszawszy o takiej niesprawiedliwości, tego samego dnia jeszcze zwróciłem się do wdowy Nadieżynowej i otrzymałem odpowiedź, że mąż jej przesłużył 36 lat. Kto tu mówił prawdę i z jakiego powodu Szestakow o 9 lat skrócił okres urzędowania Nadieżyna, pozostawiam do rozstrzygnięcia samemu dyrektorowi kolei. Trzeba przyznać, iż była to tylko omyłka z jego strony bez chęci pozbawienia wdowy z sześciorgiem dzieci prawnej pensyi i wsparcia za długoletnią, nieskazitelną i gorliwą służbę męża, niewinnie zabitego bez sądu i śledztwa.

Nazajutrz po egzekucyi nikt nie wiedział, gdzie znajdują się zaaresztowani. Z samego rana Dorfowa posłała swego syna na stację, by wypytał żołnierzy. Odpowiedzieli, że o niczem nie wiedzą, i chłopczyk bez wiadomości powrócił do domu.

Wdowa Nadieżynowa nad wieczorem kilka razy jeszcze posyłała starszego syna gimnazystę, by się dowiedział, gdzie się znajduje jej mąż, ale za każdym razem chłopiec wracał z odpowiedzią:

— „Niczego się nie dowiedziałem, żołnierze nie chcą mówić; na stacyę nie puszczają“.

Przez całą noc rodzina nie kładła się spać, oczekując z godziny na godzinę, że lada chwila wróci sam Nadieżyn, i wtedy usną spokojnie. W powietrzu było coś złowrogiego; martwa cisza na stacyi, lodowata obojętność warty i przygnębiający brak wiadomości mimowoli nastrajały człowieka jak najbardziej przygnębiająco i ponuro.

Rano, kiedy było jeszcze ciemno, Nadieżynowa znów posłała syna na zwiady.

— „Niczego się nie dowiedziałem“ — brzmiała jego odpowiedź. Kilka razy chodził tam jeszcze, ale bez najmniejszego rezultatu. Wtem przybiegła do nich córeczka wdowy Szełuchinowej i rzecze:

— „Naszego tatusia w domu niema od wczorajszego wieczora!“

— „I naszego tatusia także niema“ — odpowiedziała Nadieżynowa.

W kilka minut potem wbiega syn gimnazysta i z krzykiem:

— „Zabili, wszystkich zabili!!!“ — pada na ławkę w przedpokoju.

Słowo „zabili“ jak iskra przebiegło po całej miejscowości, od człowieka do człowieka, od mieszkania do mieszkania.

Jedni z przerażenia nie mogli pojąć gdzie, kogo i za co zabili. Inni, przeciwnie, wzdrygnęli się, tak jasnym i prostym im się to wydało: wszak „oni“ dlatego tylko tu przyjechali, żeby krew przelać, żeby zabijać!...

Wiele wdów poszło na stacyę, by zabrać zwłoki swoich mężów; lecz i w tem spotkał je wód; oznajmiono im, że wszyscy już byli zakopani w dole. Niektóre wdowy nawet i nie poszły. W niemem osłupieniu pozostawały w domu pod strasznem brzemieniem złowrogiego pytania: „za co?“

Abramówna, młoda panienka, poszukując swego brata, wczesnym rankiem poszła torem zapasowym na stacyę, a spotkawszy robotnika z remontu, zapytała, czy nie wie, gdzie jest jej brat.

— „Właśnie w tej chwili zawieźli go na wozie razem z innymi zabitymi, żeby zakopać w dole“ — odpowiedział robotnik.

Abramówna co tchu pobiegła we wskazanym kierunku.

Na skraju cmentarza gołutwińskiego, na czystym śniegu wyraźnie widniał wielki, głęboki dół, mający $2\frac{1}{2}$ sążnia długości a sążeń szeroki.

Przy dole zatrzymały się dwa wozy z trupami. Na każdym było ich 13. Wozy te znajdowały się pod opieką robotników z remontu. Asystowali żołnierze, miejscowi żandarmi oraz władze policyjne.

Dwóch robotników brało trupy za nogi i za głowę, przynosili do dołu i oddawali dwom innym robotnikom, którzy stali w samym dole. Ci układali je rzędem, głową zwracając ku cerkwi. W każdym rzędzie ułożono po 10 ludzi. Twarze ich były zeszepecone. Straszne męczarnie wycierpieli, zanim śmierć przecięła pasmo ich życia.

Niektóre twarze były skrwawione, szczególniej twarz pom. adv. przysięgłego Tararykina.

Trupy po większej części były wyprostowane, z wyjątkiem trzech, które były tak zgięte, że

trzeba je było położyć z wierzchu. W liczbie tych trzech znajdował się stary robotnik Zajcew.

Pochowano ich w futrach, z wierzchu narzucano na nich kalosze i czapki. Tylko jeden trup był rozebrany, w samej tylko koszuli, która była zboczona krwią.

Długo patrzyła Abramówna na ten obraz. Nie była w stanie poruszyć się, odejść, oderwać się od tego przerażającego widoku, od tej milczącej strasznej roboty — układania w rząd jeszcze wczoraj żywych, pełnych sił i zdrowia krewnych jej i znajomych. Nie mogła oderwać się, a kiedy ostatniego trupa — Zajcewa — spuszczone do dołu, ktoś do niej cicho szepnął: „Niech pani idzie do domu!“

Poszła, nic nie rozumiejąc, nie oglądając się za siebie, bez myśli w głowie, bez uczuć w sercu, jakby zdrętwiała.

Wróciwszy do domu, nic nie powiedziała ani ojcu ani matce.

Dopiero nad wieczorem dała ujście swemu serdecznemu bólowi w wybuchu płaczu i wtedy opowiedziała rodzicom wszystko, co widziała, przeszła, wycierpiała w ten straszny ranek.

Kapłan odprawił mszę żałobną, kiedy już dół był zakopany.

Pieniądze i rzeczy, które znajdowały się przy zabitych, nie zostały nikomu zwrócone.

Wielu z nich, według zeznań świadków, miało pieniądze, złote zegarki, dewizki. Adwokat Tararykin miał przy sobie 300 rubli, Dorf 27, a zawiadowca stacyi Nadieżyn — pieniądze rządowe.

W tym czasie, kiedy zawieziono zwłoki na cmentarz, oddział żołnierzy pod dowództwem Ri-

mana ruszył z armatami i kartaczownicami na fabrykę Struwego. Armaty skierowano tak, by groziły głównemu biuru fabrycznemu. Po rozmowie z głównym dyrektorem fabryki, pułkownik postanowił jej nie rewidować; powiadają, że dyrektor zaręczył, iż w niej broni niema.

Riman uprzedził administrację fabryki, że jeżeli z fabryki dany będzie choć jeden wystrzał, to zburzy ją kulami armatnimi i zrówna ją z ziemią.

Wszystko przeszło spokojnie, żadnych wystrzałów nie było; żołnierze stali do wieczora około fabryki i, zrewidowawszy tylko palta robotnicze na wieszadle, powrócili na stację Gołutwino.

Potem zaczęli wybierać się w drogę i we wtorek, t. j. na trzeci dzień, odjechali z powrotem do Moskwy. Przed ich wyjazdem została odprawiona msza dziękczynna. Posłano po ojca Winogradowa, któremu żołnierze tegoż samego oddziału zabili syna, ale on odmówił i nie przyszedł.

Nie dziękczynną mszę należało odprawić, lecz żałobną za poległych!...

Zamiast niego nabożeństwo odprawił ojciec Nikifor, życząc długich lat pułkowi siemionowskiemu, a w słowach pasterza, zwróconych do modlących się, wyraził wdzięczność oddziałowi pułku, który zdołał uśmierzyć bunt i przywrócić ład i pokój.

Wyjechali, zostawiając niewielką garstkę żołnierzy jeszcze na 3 dni.

Na wyjeźdnie polecili miejscowej policji szukać buntowników, figurujących na liście, i zabijać. Między innymi wyszczególnili studenta Mikołaja Sapożkowa, Bronisława Starkiewicza, robotnika Kryworotowa i innych.

Kryworotow był o tyle nieostrożny, że po wyjeździe żołnierzy powrócił do rodziny. Policya wpadła, zrobiła rewizję i zabrała Kryworotowa; został zabity i pochowany w osobnej mogile obok wspólnego grobu, gdzie pochowanych było 26 ludzi.

Gdzie zabito Kryworotowa, kto go zabił i jakim sposobem, nikt nie wie.

Wiadomo tylko, że na krótko przed przybyciem żołnierzy siemionowskich Kryworotow własnoręcznie rozbroił żandarmę stacyjnego, zabrawszy mu rewolwer, i nagadał mu wiele nieprzyjemnych rzeczy. Za to dostał się na listę.

Po tem wszystkiem, co zaszło, ludność miejscowa czuje się bardzo przygnębioną. Wśród robotników czas jakiś panowała panika, a kiedy pewnego razu, zdaje się na trzeci dzień pobytu oddziału, rano żołnierze zrobili rewizję i zabrali trzem robotnikom paszporty, to ci natychmiast pobiegli do męskiego klasztoru kołomeńskiego, do mnicha ojca Joannika spełnić ostatni obowiązek chrześcijański — wypowiadać się i przyjąć komunię.

Ojciec Joannik wypowiadał ich, lecz gdy podeszli, aby przyjąć św. komunię, i ojciec Teodor dowiedział się o przyczynie, która ich skłoniła do modlitwy i przyjęcia komunii, przeląkł się grożącą mu za to odpowiedzialności, zaczął krzyczeć na nich przy wszystkich i odmówił im komunii, mówiąc: — „Dziś może będziecie rozstrzelani, a ja mam wam dawać komunię. Przyjdźcie jutro, jeżeli was nie rozstrzelają“, wyszli więc z cerkwi bez komunii.

Ten obrazek z natury, malujący miejscowe duchowieństwo oraz jego sposób pojmowania obowiązków pasterskich, zapisałem według opowiada-

nia robotnika, któremu odmówiono komunii. Daje on również wyobrażenie o grozie i panice wśród całej ludności miejscowej, kiedy wkroczenie żołnierza do mieszkania wystarczało, ażeby gospodarz uważał się już za skazanego na śmierć.

ROZDZIAŁ VII.

Wspominałem już o tem, jak konieczną jest natychmiastowa pomoc dla osób i rodzin, które pozostały w ostatecznej nędzy, gdy żywiciela ich zostali rozstrzelani przez oddział karny pułku Siemionowskiego. Nadmieniałem także, iż znaleźli się poczciwi i zacni ludzie, którzy dobrowolnymi ofiarami pośpieszyli ulżyć niedoli i cierpieniom nieszczęśliwych rodzin, wyrzuconych na ulicę i skazanych na przymieranie z głodu.

Przytoczę jeszcze jeden piękny przykład uczuć humanitarnych wśród tych samych żołnierzy, którzy pod naciskiem obowiązku bezwzględnej posłuszeństwa władzy postępują często wbrew własnemu sumieniu, wbrew głosowi serca i duszy, wbrew wewnętrznemu swemu „ja“.

Wśród żołnierzy powstała myśl przyjscia z pomocą rodzinie zabitego zawiadowcy stacji Nadieżyna w Gołutwinie, zebrania w tym celu między swoimi groszy i oddania ich nieszczęsnej wdowie niewinnie zabitego człowieka. Nietylko urządzili składkę, przyjmując jak najdrobniejsze ofiary, lecz czuli też potrzebę listownego wyrażenia wdowie swego współczucia z powodu niepowetowanej straty i nieszczęścia, nad którym oni także z całej duszy ubolewają.

List ten wraz z 6-ciu rublami przyniósł rano

żołnierz Nadieżynowej. Nieśmiało zadzwonił u wejścia, lecz sam widok szarego żołnierskiego szynela wywołał popłoch w tym nieszczęsnym domu. Żołnierz poprosił przez służącą, że chciałby się osobiście widzieć z p. Nadieżynową, aby jej słów kilka powiedzieć.

Przerażona, nie wiedząc, co myśleć o tych odwiedzinach, wyszła Nadieżynowa, pewna, że ją czeka coś złego. Żołnierz oddał jej list od swoich towarzyszy, którzy pisali, że, wiedząc doskonale, iż Nadieżyn niewinnie padł ofiarą, że był bardzo dobrym człowiekiem, którego wszyscy kochali i głęboko poważali, śpieszą wyrazić wdowie zabitego współczucie i proszą ją, żeby się nie poddawała ciosowi, który ją dotknął.

Wręczając list i pieniądze, żołnierz powiedział jej od siebie kilka gorących słów, które przybitej kobiecie wycisnęły łzy z oczu; przyjęła list i pieniądze i prosiła pocziwca, by oświadczył swoim towarzyszom, że ten dowód współczucia będzie wielką, wielką pociechą w jej nieszczęściu.

Czytelniku! Może pomyślałeś, że to uczynili ciż sami żołnierze pułku Siemionowskiego, którzy w wigilię dnia tego rozstrzelali jej męża? Czyżby oni byli zdolni do tego strasznego wstrząśnienia duchowego, jakiemu człowiek ulega, gdy, czyniąc zadość obowiązkowi żołnierskiemu, każe milczeć głosowi sumienia, a potem nagle rzeczywistość staje w całej nagości przed jego oczyma?

Nie, to byli żołnierze z części wojska, kwaterującego w Kołomnie o cztery wiorsty od miejsca zamieszkania Nadieżyna. W nich to zbudziło się serce i skłoniło ich do spełnienia dobrego i pięknego czynu, do podania pomocnej dłoni zła-

manej i wyczerpanej cierpieniem kobiecie. Osiągnęli cel upragniony — osuszyli łzy wdowy.

Mniemał-że Riman, iż jego rozstrzelanie bez sądu i śledztwa niewinnych ludzi przerazi całą ludność i zniewoli wszystkich do pokornego, niewolniczego pogodzenia się z przelewem krwi, jako z nieuniknionym wyrazem wyższej polityki obecnego ustroju?

Przypuszczał-że Riman, iż w sercach tego samego wojska, do którego i on należy, zbudzą się szlachetniejsze ludzkie uczucia dla tych, którym wdarłoby się do ukochanych, oraz protest przeciwko niemu samemu i tym wszystkim, którzy czynią gwałt i bezprawie?

Okrutnie zawiódł się Riman! Dobrowolna składka żołnierzy z miejscowych oddziałów wojskowych oraz list, przesłany przez nich wdowie, najdosadniej świadczą, że nie mogli zapanować nad uczuciem oburzenia, które ich ogarnęło wobec bezmyślności oddziału karnego, wobec egzekucyi, połączonej z tajemniczością i okrucieństwami, wobec braku sądu i śledztwa. Zbudził się w nich protest przeciwko temu, i zaprawdę władza powinna nad tym protestem się zastanowić, nie lekceważyć go, ale liczyć się z nim. Wychodzi on bowiem z tego środowiska, które zwłaszcza w obecnych czasach niezbędne jest dla rządu, na którym rząd nie tylko się opiera, lecz przy którego pomocy walczy o zachowanie swej całości, swego istnienia.

I do protestu tego przyłącza się całe społeczeństwo i żąda od rządu, aby natychmiast oddał pod sąd wszystkich kierowników oddziału karnego.

Wiadomość, podana przez „Nowoje Wremia“, jakoby rząd zamierzał nakazać urzędnikom oddziel-

nego korpusu żandarmeryjnego przeprowadzenie jak najbardziej szczegółowego śledztwa co do działalności oddziału karnego, może tylko wzmocnić istniejącą już niechęć do rządu, który obawia się wyprowadzić na światło dzienne działalność swoich agentów. Wszyscy doskonale wiedzą, co znaczą żandarmeryjne badanie takiej olbrzymiej i skomplikowanej sprawy. Takie badanie nie może dać społeczeństwu żadnej gwarancji, żadnego zadosyćuczynienia. Żaden świadek nie będzie się czuł swobodnym, składając zeznania na ręce sędziego śledczego z łona żandarmeryi, wie bowiem doskonale, że lada chwila może z roli świadka przejść do roli oskarżonego i dostać się do więzienia. Rzecz naturalna, że w takich warunkach przestępstwa oficerów oddziału karnego nie zostaną ukarane, i opinia społeczna nie uspokoi się, lecz z coraz większą natarczywością domagać się będzie zadosyćuczynienia.

Śmierć robotnika fabryki kołomeńskiej Wasyla Kryworotowa, syna Aleksego, otacza niedocieczona tajemniczość. Nikt nie umiał objaśnić, kto go zabił, gdzie i za co. Wiadomo tylko, że został zabity w Gołutwinie w nocy 3 stycznia, t. j. już po odprawieniu na stacyi Gołutwino nabożeństwa dziękczynnego z powodu stłumienia buntu oraz oświadczenia Rimana w wygłoszonej przezeń wtedy mowie, że już dosyć przelano krwi i że on już nikogo więcej nie zabije.

Wiadomo także, że oddział karny wyjechał o kilka godzin wcześniej z Gołutwina, a więc nie mógł zabić Kryworotowa.

Może zabiły go władze miejscowe gołutwińskie z jakiegoś rozporządzenia? Może im to polecił

pułkownik Riman i władze gołutwińskie wykonały tylko sumiennie dane im polecenie? Może tak podziałał na nie przykład naczelnika oddziału, że, korzystając z jego upoważnienia co do stanowczego i szybkiego działania, bez żadnej przytem odpowiedzialności, uważały za właściwe taką prostą drogą uwolnić się od znieawidzonego przez siebie człowieka? Wszystkimi temi palącami a niewyjaśnionymi pytaniami niezmiernie jest zajęta ludność miejscowa, ja zaś postarałem się możliwie blisko dotrzeć do prawdy i oświetlić je ze strony faktycznej.

Udało mi się zdobyć zeznania matki i żony Kryworotowa. Były one obecne przy rozmowie podczas jego aresztowania, po którym w ciągu kwadransa został rozstrzelany, zgodnie ze świadectwem robotników sygnałowych, którzy słyszeli wystrzały. Miejsce egzekucji znajdowało się o 20 kroków od budki sygnałowej.

Około godziny 11-ej wieczorem, 2 lutego, kiedy w domu Kryworotowa wszyscy spali, usłyszano silne stukanie do drzwi. Matka staruszka podeszła do drzwi i zapytała:

— „Kto tam?“

Nie otrzymawszy odpowiedzi, postanowiła nie otwierać drzwi, lecz syn zaprotestował i powiedział jej, żeby otworzyła. Wtedy weszło trzech mężczyzn dobrze znanych mieszkańcom tego domu: starszy policyant Siemion Iwanow, mocno pijany, młodszy policyant Bazyli Końkow i żandarm kolejowy. Ten ostatni nie chciał wejść bez światła i zażądał, żeby oświetlono mieszkanie. Śmielszej natury Iwanow dodawał odwagi swemu przyjacielowi, utrzymując, że prócz rodziny Kryworotowych nikogo niema.

Prawdopodobnie, kiedy szli spełnić to przestępstwo, sumienie ich niepokoiły krwawe widma zamierzonej zbrodni, i wobec tego musieli sobie wzajemnie dodawać odwagi.

Bazyli Kryworotow leżał w łóżku, gdy weszli do pokoju przy świetle zapalanej lampy. Bardzo się zdziwił, ujrzawszy ich, podał im rękę, ponieważ znał ich dobrze, i zapytał:

— „Iwanow! po co przyszedłeś do mnie?“

— „Wstań, Bazyli, i ubieraj się! Pójdiesz z nami na stację; tam jest jakaś sprawa“ — obojętnie odpowiedział Iwanow.

Proste te słowa jednak przeraziły Kryworotowa i ujrzał śmierć przed oczyma. Od zimnych, obojętnych słów: „pójdiesz na stację“ wiało grobowe technienie śmierci, można ją było także wyczytać w tych obojętnych twarzach ludzi, którzy tu przyszli z maską życzliwości i przyjaźni.

— „W jakiej sprawie mam pójść na stację?“ — drżącym głosem z przerażenia zapytał Kryworotow.

— „Ach! Bazyliku, trzeba iść na badanie, tam już cię oczekują!“ — powiedział Iwanow.

— „Nieprawdę mówisz Iwanow! Dlaczego oszukujesz mnie?“ — zawołał Kryworotow — „nie jestem dzieckiem, wiem, że po tem, co tu się działo, i w obec tego, że oddziału Siemionowskiego już w Gołutwinie niema, nie może być badania na stacyi. Jeżeli mnie tam wzywasz, to znaczy, że chcecie mnie zabić! Mów prawdę, Iwanow! Nie dręcz mnie. Ja się domyślam, że chcesz mnie zabić... Gdyby mnie wzywano do cyrkułu, to co innego!...“

— „Jakiż z ciebie, Bazyliku, głupiec! Czyś nie słyszał, jak podczas nabożeństwa mówił puł-

kownik, że już nikogo więcej nie będą zabijać? Czego się boisz? Jakie tam rozstrzelanie? Ubieraj się co prędzej i chodźmy!”

— „Nie! ja nie pójdę!” — stanowczo zaprotestował Kryworotow.

Nie zdążył jeszcze dopowiedzieć zdania, gdy przyskoczył do niego żandarm i, ze złowrogim wyrazem twarzy przyłożywszy mu rewolwer do piersi, powiedział:

— „Nie pójdziesz?... Nie będziesz się ubierał!?”

Biedna stara matka tak się wylękała, że sama zaczęła namawiać swego Bazylka, żeby poszedł prędzej na stację i nie gniewał żandarma, gdyż tak to mu tam nie złego nie zrobią; a jeżeli ich rozgniewa, to mu będzie gorzej.

O sancta simplicitas! Ona sama nagliła swego ukochanego syna, aby śpieszył na rozstrzelanie. Chcąc zmiękczyć gniew żandarmów, ona, matka jego, namawiała go, by się nie sprzeciwiał i szedł na śmierć prędzej, bez walki, bez oporu!..

Powoli zaczął się Bazyl ubierać, a Iwanow uprzejmie mu pomagał. Kiedy zaś nieszczęny żegnał się z matką i żoną, Iwanow uprzedzająco powiedział:

— „Dlaczego się żegnasz z takim wzruszeniem? Przecież nie na śmierć idziesz...”

Co za obłuda i co za okrucieństwo! Wiedzieć, że człowiek będzie za 10 minut przez nich samych zabity, gawędzić z nim spokojnie i nie dać mu przygotować się na śmierć, pożegnać się z ukochanymi!..

Kiedy wyprowadzono go z domu, żona, nie mogąc się powstrzymać, wybiegła za nim i, dusząc się od płaczu, zawołała na niego; stara matka także wybiegła na dwór. Bazyl zatrzymał się i zawołał:

— „Olesiu! Mamo! Nie płaczcie! Jeżeli się co stanie, to pamiętajcie, że jestem niewinny!”

Już go więcej nie widziały. Nawet jego trupa...

Przyprowadzili go na stację i kazali stanąć w tem samym miejscu, gdzie przed dwoma dniami Riman zabił 26 ludzi, koło ścianki z węgla, niedaleko od budki sygnałowej. Dali do niego kilka strzałów i zabili go.

Robotnicy sygnałów słyszeli te wystrzały; według ich zeznań, była już 12 w nocy. Około 5-ej rano 2-go stycznia robotnicy kolejowi zawieźli zwłoki Kryworotowa na sankach na cmentarz i mówią, że pochowali go w rozkopanej w tym celu wspólnej mogile, na samym wierzchu, na innych zwłokach. W osobnym zaś grobie, o którym wspominałem wyżej, pochowano kogoś innego, nie Kryworotowa, lecz kogo — nie wiadomo.

Interesującym jest jeszcze następujący szczegół: kiedy żona zażądała od policyi, aby jej wydano świadectwo o śmierci męża, to nie chciano jej dać takiego świadectwa z zaznaczeniem, że został zabity 3 stycznia, t. j. wtedy, kiedy siemionowców już na stacji nie było, lecz chciano napisać świadectwo, że Kryworotow został zabity 1 stycznia, jeszcze podczas pobytu siemionowców. Szczegół ten ma ogromne znaczenie. Miejscowa władza policyjna, spełniwszy krwawą zbrodnię, obawiała się ściągnąć na siebie za nią odpowiedzialność i chciała zwalić wszystko na oficerów oddziału karnego, dlatego też w świadectwie urzędowym wolała sfałszować cyfry, niż dostać się za morderstwo na ławę oskarżonych.



ROZDZIAŁ VIII.

Załatwiwszy wszystkie sprawy w Gołutwinie, pułkownik Riman pośpiesznie wyjechał do Aszytkowa, aby tam wykonać wyrok śmierci na trzech ludziach, którzy już z góry byli skazani: na zawiadowcy stacyi, Sergiuszu Winogradowie, na pomocniku Buninie i na urzędniku poczty, Aleksym Jeremiejewie. Przyjechał 1 stycznia o g. 8-ej zrana na stację Aszytkowo, bez uprzedzenia stacyi o przybyć mającym pociągu. Winogradow spał wówczas, lecz usłyszawszy wrzawę na stacyi, obudził się i poprosił żonę, by zobaczyła przez okno, co się tam dzieje. Był chory i leżał w łóżku. Żona odpowiedziała, że przybył z Samary pociąg sanitarny z wojskiem. W tej chwili zastukano do drzwi jego mieszkania. Kazał służącej otworzyć. Weszli żołnierze i od razu wtargnęli do jego sypialni, gdzie zastali i jego i żonę w samej bieliźnie. Musieli oboje ubierać się w obecności żołnierzy. Ponieważ Winogradow był chory, źle się czuł i ubierał się bardzo powoli, to po paru minutach wbiegł oficer i krzyknął na niego:

— „Ubieraj się pan prędzej i zejdź zaraz na dół!”

Krzyk ten przebudził trzyletnią córeczkę Winogradowych i dziewczynka zaczęła płakać.

— „Czy masz pan broń?“ — zapytał oficer. Winogradow oddał mu swój rewolwer.

Ubrawszy się, Winogradow poprosił żonę o lekarstwo, a siostrę o tytoń. Biedak! Nie domyślał się nawet, że idą go rozstrzelać i że nie będzie potrzebował już się leczyć, że lekarstwa będą już zbyt skuteczne i że nie wypali już nawet papierosa.

Żonę bardzo zaniepokoiły te przygotowania, a on, żegnając się z nią i córką, prosił, żeby nie tęskniły—że niezadługo powróci, gdyż prawdopodobnie wiozą go tylko do Moskwy na śledztwo; załeciał, aby spokojnie czekały jego powrotu, i pocałował je na pożegnanie. Ani żona, ani córka już go potem nie zobaczyły.

Pani Winogradowa narzuciła na siebie futro i chciała iść za mężem, żeby zobaczyć dokąd go prowadzą, lecz żołnierz, stojący u drzwi, odepchnął ją grubiańsko, mówiąc:

— „Dokąd leziesz? Męża twego zaprowadzili na rozstrzelanie, nie uratujesz go! Posłuchaj lepiej: zaraz będą strzelać!“

Co się działo w duszy biedaczki, gdy usłyszała te zimne i okrutne słowa, trudno opisać. Zaczęła biegać po pokoju, jak szalona, stawała, nasłuchiwała, to znów błagała żołnierza, by ulitował się nad nią i wypuścił ją z mieszkania; to znów nie wierzyła jego słowom, głęboko przekonana, że tak nie zabijają ludzi, — wszak najpierw odbywa się sąd, bada się podsądnego, potem pozwala się skazanemu na śmierć przygotować się na drogę do wieczności, zrobić rachunek sumienia, wypowiedzieć się przed kapłanem i powiedzieć ostatnie słowa „bądźcie zdrowe!“ do żony i córki. Nie, ona chwilami nie wierzyła, że go rozstrzelają, że go zabijają za jakieś tam przestępstwo; zdawało

jej się, że żołnierz powiedział tak tylko naumyślnie, by się znęcać nad rozpaczą nieszczęśliwej kobiety.

Po jakimś czasie żołnierz zwrócił się do niej: „No, teraz możesz iść, już po wszystkim!” Oszalała niemal z radości, że zaraz zobaczy męża, że trwoga o jego życie była zbyteczna, nieuzasadniona... Strzałów nie słyszała albo nie poznała, że to była salwa karabinowa.

Rzuciła się na kolana przed żołnierzem. Była głęboko przekonana, że uda jej się przedstawić stopień winy męża we właściwym świetle. Podejdzie wprost do oficera i powie mu, że mąż jej był członkiem wszechrosyjskiego związku kolejowego, przekona go, że nic w tem niema karygodnego, i w ten sposób złagodzi położenie swego męża.

Nie wiedziała, że było już za późno! Mąż jej był już zabity, zwłoki jego leżały na miejscu egzekucyi, niedaleko od stacyi.

Podążyła najpierw do biura stacyjnego, lecz tam nikogo nie było; pobiegła na peron, lecz tam nikt nie umiał jej powiedzieć, gdzie znajduje się jej mąż, dokąd go zaprowadzono. Zobaczywszy żołnierzy przy przejeździe i na torze, idącym w kierunku Moskwy, pobiegła tam z nadzieją w sercu, że zobaczy oficera i od niego dowie się, jaki los czeka jej męża. Żołnierze jej nie puścili, odepchnęli ją brutalnie, mówiąc:

— „Nie leż! poczekaj! znajdziesz, co ci potrzeba; nie bój się, nie zabierzemy z sobą!” — słowa te zakończyli cynicznym łajaniem.

W kilka minut potem pociąg odjechał.

Opodal przejazdu zobaczyła niedaleko od skraju drogi, prowadzącej do lasu, coś ciemnego, leżą-

cego na śniegu, coś jakby ciało ludzkie. Jakieś straszne przeczucie pchało ją w tę stronę, coś ka-zało jej mimowoli spoglądać na ten ciemny przedmiot. Szła ku niemu bezwiednie, jakby wiedzio-na ręką jakiejś wyższej siły.

I nagle ujrzała, że to są najwyraźniej zwłoki jej ukochanego Sergiusza. Krwawo zabarwiony śnieg nie pozwalał dłużej się łudzić... Nie było wątpliwości... był zabity...

— „Nie wiem, co się ze mną działo! Upadłam przy nim na kolana i zaczęłam całować me-go kochanego, najdroższego Sergiusza! Całowa-łam twarz jego, usta, całowałam bez końca. Chcia-łam ucałować jego rozumną głowę, czoło, zdjęłam czapkę... Boże! w niej był mózg!! Wtedy straci-łam przytomność i co dalej ze mną się działo, nie pamiętam!“

Strzały były wymierzone w głowę z tyłu i roz-trzaskały czaszkę.

Rozstrzelanie odbyło się w następujących oko-licznościach.

Kiedy żołnierze przyszedli do mieszkania za-wiadowcy stacyi Winogradowa, inna część żołnie-rzy udała się do pom. zaw. stacyi Bunina i do biura pocztowego do urzędnika Fadiejewa.

Bunin, pom. zaw. stacyi, dopiero co wstał i kończył ranną tualetę; powróciwszy z kraju Za-bajkalskiego dopiero na miesiąc niespełna przed wyżej opisanymi wypadkami, nie mógł faktycznie brać udziału w ruchu, który się rozpoczął 20 gru-dnia. Powrócił niesłychanie wyczerpany i zde-nerwowany, wskutek usilnej i ciężkiej pracy pod-czas działań wojennych; spragniony odpoczynku i spokoju, nie chciał i nie ~~istniał~~ być członkiem ani drużyny bojowej, ani ~~składu~~ zespołu kolejowego.

Bunin prędko się ubrał i pod konwojem żołnierzy zaprowadzony został na stację. Upłynęło trochę czasu, gdy również pod konwojem przyprawiono zawiadowcę stacji Winogradowa. Kazano im iść dalej do przejazdu na tory zapasowe. Szli najzupełniej przekonani, że wsadzą ich do wagonu i zawiozą do Moskwy na śledztwo. Kiedy doszli do przejazdu, pułkownik Riman kazał im skrócić na prawo i podążyć drogą, prowadzącą do lasu. Skierowali się tam wolnym krokiem; naprzód szedł Bunin, potem Winogradow. Rozległa się salwa bez komendy, i obaj runęli na śnieg, nawet na sekundę przed tem nie spodziewając się takiego końca.

Następnie dano do nich parę pojedynczych strzałów, ale już byli martwi.

Bunin nie miał żadnej broni; rewizyi ani w jednym, ani w drugiego mieszkaniu nie robiono. W tym samym czasie, gdy żołnierze naglili do prędkiego ubierania się Winogradowa i Bunina, inna część żołnierzy pod dowództwem oficera udała się do biura pocztowego, małego oddzielnego budynku, stojącego niedaleko od stacji. Tam pracował urzędnik pocztowy, Aleksy Fadijew, syn Jeremiasza.

Kiedy wszedł oficer i ujrzał Fadijewa, zapytał:

— „Czy pan jesteś Aleksy Jeremiejew, urzędnik tutejszego biura pocztowego?“

Fadijew w tej chwili zmiarkował, o co chodzi, i rzecze:

— „Nie, ja nie jestem Jeremiejew, jestem Fadijew“.

Pominał milczeniem to, że oficer się omylił i wziął imię jego ojcza za jego nazwisko. Wtedy oficer wyszedł, pozostawiając go w spokoju. Fadijew powinien był zostać w biurze i nigdzie

nie wychodzić, a tymczasem on poszedł do przejazdu i skręcił na lewo w tej właśnie chwili, kiedy Riman wracał do tegoż przejazdu po zabiciu Bunina i Winogradowa. Któryś ze stojących tu szpiegów zbliżył się do oficera i rzekł, wskazując na Fadiejewa: „Dlaczegoście tego nie zabili? To tutejszy mówca!“ Wtedy oficer, nie sprawdzwszy ani kto on taki, ani co on zrobił, widząc tylko grzbiet idącego i mając jedynie gołosłowne zapewnienie jakiegoś tam szpiega, że ten jest mówcą, rozkazał żołnierzom strzelić.

Fadiejew padł od razu trupem, tak że nie potrzeba było nawet marnować zbytecznych naboju na dobijanie go.

Potem natychmiast wszyscy żołnierze i oficerowie wyjechali pociągiem w stronę Moskwy.

Cała ta rozprawa zajęła oddziałowi zaledwie 20 minut czasu.

Po długich prośbach i płaczu udało się wdowie Winogradowej wyprosić u „uradnika“ pozwolenie na pochowanie zwłok męża. Pozwolił, ale z warunkiem, aby pogrzeb odbył się w ciągu dwóch godzin. Dlatego też nie mogli na ten smutny obządek przyjechać starzy Winogradowowie i nie pożegnali się z synem.

Ażeby czytelnik nie miał żadnej wątpliwości co do najdrobniejszej bodaj winy niektórych osób skazanych bez sądu na śmierć przez oddział siemionowski, powołam się na zdanie miejscowego duchownego w Gołutwinie, ojca Jana Winogradowa, o dwóch ludziach, których dobrze znał, a mianowicie o zawiadowcy stacyi Nadieżynie i jego pomocniku Szełuchinie.

Ojciec Jan jest duchownym w tej parafii 26 lat i dobrze znał obydwóch tych ludzi. Szełuchina znał trzy lata, a Nadeżyna bardzo dawno, ponieważ ten był urzędnikiem na kolei Moskiewsko-Kazańskiej 36 lat. Przez tak długi czas wspólnego życia w spokojnej, odosobnionej miejscowości ojciec Winogradow mógł dobrze poznać wszystkie cechy charakteru Nadeżyna, jego duszę i serce, zwłaszcza, znając wszystkie najdrobniejsze szczegóły jego życia, wszystkie radości i niepowodzenia. Jako duchowny i sympatyzujący z nim, ojciec Jan dzielił jego radości i smutki. Chrzcił mu dzieci, odprawiał msze i nabożeństwa żałobne. Syn ojca Jana był dawniej podwładnym Nadeżyna na tej samej stacyi Gołutwino i to jeszcze wzmocniło związek między kapłanem a Nadeżynem. Byli wielkimi przyjaciółmi, dobrze się znali i rozumieli wzajemnie.

Kiedym rozmawiał z ojcem Janem i rozpytywałem się o szczegóły zabójstwa syna jego Sergiusza Winogradowa przez pułkownika Rimana na stacyi Aszytkowo, gdzie był zawiadowcą stacyi, i o zabójstwach dokonanych tu na miejscu w Gołutwinie, odpowiedział mi:

— „Ciężko mi opowiadać o tem, co zaszło, tak ciężko, że pan nie da wiary. Kiedy rano 1 stycznia przybiegł do mnie nadzorca i rzekł: „Ojczy, chodźcie chować!“ — „Kogo chować?“ — zapytałem. — „Zabitych“ — odpowiedział i dodał: „Żołnierze, którzy wczoraj przyjechali, zabili 26 ludzi — zawiadowcę stacyi, pomocnika i wielu innych“. „Dopiero, kiedy mi to powiedział, zrozumiałem, jakie to ja wystrząły słyszałem w przeddzień, kiedym w cerkwi skończył nieszpory. Właśnie w tej chwili rozstrzelano tych niewinnych, nieszczęsnych ludzi. Wtedy zrobiło mi się ciężko

na duszy i ogarnął mnie strach przed gniewem boskim i oburzeniem ludzkim za przelaną, niewinną krew. Brak mi słów, by opowiedzieć panu, com przeżył w tej minucie. Powiem tylko tyle, że kiedy nad wieczorem tegoż dnia otrzymałem wiadomość telegraficzną, że tak samo rozstrzelano mego rodzonego, ukochanego syna Sergiusza w Aszytkowie, nie doznałem tak głębokiego wstrząśnienia, ani setnej części tych cierpień i katuszy, które przeżyłem tego ranka, gdy dowiedział się o zabiciu niewinnych Nadieżyna i Szełuchina. Wierzaj mi pan, że syn mój rodzony, ukochany był mi na świecie najdroższym, lecz śmierć jego nie wstrząsnęła mną tak silnie, bom słyszał, że on był winnym, jeżeli za winę można uważać należenie do wszechrosyjskiego związku kolejowego. Żałowałem go, cierpiałem nad niepowetowaną stratą, lecz nie byłem tak przybity i zgnębiony tą śmiercią, jak wiadomością o niewinnie zabitych Nadieżynie i Szełuchinie“.

Po chwili milczenia starzec mówił dalej:

— „Zabili bez sądu, śledztwa, zabili niewinnych ludzi, jak rozbójników w ciągu 2 — 3 godzin, zabili takich ludzi, za których gotów jestem odpowiadać przed Bogiem, ponieważ w niewinność ich tak wierzę, jak w swoją własną!“

Za co?

To proste pytanie a zarazem pełne grozy, wskutek tego, że niema na nie odpowiedzi, prześladowuje mnie wszędzie, gdziekolwiek się ruszę, z kimkolwiek w rozmowie poruszę kwestyę działalności pod Moskwą oddziału karnego.

— „Powiedz pan, dla Boga, za co zabili mego męża?“ — z temi słowy zwróciła się do mnie Nadieżynowa, wdowa po zabitym zawiadowcy stacyi w Gołutwinie. Pan zbierałeś wiadomości, badałeś wielu naocznych świadków, musisz więc teraz już wiedzieć, za co go zabili. Powiedz pan, nie dręcz mnie! To straszne pytanie nie daje mi chwili spokoju! Przecież nie mogli go zabić bez powodu, niewinnie? Nie wierzę temu. A więc mieli za co!! Lecz za co? Za co? — Nie wiem!!“ I, wpadłszy w głęboką zadumę, zupełnie zapomniała o mojej obecności. Nie chciałem przerywać smutnych jej myśli i czekałem, aż sama do mnie przemówi.

Odwiedzenie tej nieszczęsnej rodziny nigdy nie zatrze się w mej pamięci. Jak żywą, widzę przed sobą bladą, szczupłą kobietę o ciemnych, przypruszonych siwizną włosach. Na znękanej twarzy widać głębokie ślady jej ciężkich trosk;

Smutne, poczciwe oczy z taką żalością i z takim wyrazem beznadziejnej rozpaczycy zwracały się do mnie z pytaniem: — „Powiedz pan, za co go zabili?!“ — że zdawało mi się, jakoby cała okropność jej położenia, cały ogrom jej obecnych cierpień, dlatego właśnie były dla niej tak ciężkie, tak nie do zniesienia, że biedaczka nie może otrzymać odpowiedzi na fatalne pytanie.

Nie to ją zabija, że straciła ukochanego męża, z którym życie całe przeżyła, nie to, że straciła swego opiekuna i żywiciela sześciorga dzieci, z którymi teraz będzie pędziła życie o głódzie. Nie, ją dręczy to, że nie wie, na czym polegało przestępstwo jej męża. Gdyby mu dowiedziono, że jest takim a takim przestępcą, jej smutek przybrałby inną, bardziej określoną postać; cierpiałaby, lecz nie tak; wiedziałaby, że poniósł słuszną karę: „szukał guza, to i znalazł go“; lecz oto w danym razie dręczy ją przypuszczenie, że on był przestępcą, tajemnym, strasznym przestępcą, którego stracono w ciągu 2—3 godzin, jak rozbójnika na śródku drogi, bez spowiedzi, bez ostatniego słowa przed śmiercią, zwróconego do dzieci, do rodziny, do społeczeństwa... A że przestępstwo musiało mieć miejsce, o tem upewnia ją to głębokie przekonanie, że „niewinnego“ rząd przecież nie mógł zabić; toby nie zgadzało się z jej rozumowaniem; pojęcie: „rozstrzelanie bez winy i sądu“ nie zgadza się z jej istotą wewnętrzną, z tem wszystkim, co dotychczas stanowiło jej życie, treść duchowego jej życia, jej duszę i serce.

— „Nie, niewinnego nie mogli zabić, — on musiał popełnić coś złego, coś niesłychanie złego!“

I oto znowu w całej swej grozie staje przed nią pytanie:

— „Za co?...”

— „Był raz jeden na mityngu w teatrze i, zwracając się do robotników, powiedział, że z powodu strajku kolejowego robotnicy Bóg wie co wyrabiają, rozechwytują na stacyi cudze mienie, że tak nie należy postępować i że to nie zgadza się z zasadą porządku i uczciwości. Może go za to zabili?... Zamilkła i znów pograżyła się w ciężkiej zadumie, prawą ręką nerwowo pocierając czoło i usiłując rozwiązać okropną zagadkę.

— „Nie, nie! To być nie może! Za to nie mogli go zabić! On bronił rządu; dlatego tylko poszedł na mityng, żeby mową swoją wpłynąć na robotników, obudzić w nich lepsze popędy i powstrzymać w ten sposób od podobnej grabieży, jaka miała miejsce w Perowie. Nie, nie za to go zabili!...”

— „Więc za co, za co?!“ — zawołała głosem nabrzmiałym nowym bólem i, znowu nie znajdując odpowiedzi, pograżyła się w swoich myślach.

— „Może za to, że miał w kieszeni depesze służbowe z podpisem komitetu strajkowego?“ — zapytała mnie. — „Ale przecież on nie mógł ich nie odbierać, ponieważ codziennie przychodziły i odchodziły pociągi wojskowe z Dalekiego Wschodu, które trzeba było natychmiast dalej wysyłać, w przeciwnym razie groziły, że zburzą całą stację. Wtedy chcąc nie chcąc trzeba je było wpuszczać na stację i zawiadamiać następną o mającym nastąpić na nią ich przybyciu. Nie, to on musiał robić; wreszcie o wszystkim, co zachodziło, natychmiast telegrafował do swojej władzy w Moskwie, lecz żadnej odpowiedzi stamtąd nie otrzymał. Nie, nie! Za to nie mogli go zabić! W tem niema nic występnego!“

„Więc za co? Ja nie wiem... Powiedz pan, może wiesz cośkolwiek, możeś słyszał, powiedz pan!... Gotowa jestem wysłuchać całej prawdy bez względu na to, jaką będzie!”

„Za co?...”

Lecz pytanie to pozostawało bez odpowiedzi. Daremnie szukałem w myśli słów, żeby ją pocieszyć, żeby zmniejszyć jej cierpienia, dać jej odpowiedź na nierozwiązalną zagadkę. Nie mogłem jej powiedzieć:

— „Mąż pani został niewinnie zabity! Czy pani słyszysz? Od członków komitetu strajkowego wiem, że mąż twój, podobnie jak i wielu innych, został niewinnie zabity; ręczę pani honorem i wszystkim, czem pani chcesz, że mąż twój był zupełnie niewinny!”

Nie powiedziałem jej tego, ponieważ nie rozumiałaby słów moich, tak samo, jak nie mogłaby zrozumieć języka sanskryckiego.

Żadne argumenty, żadne dowody, żadne przekonywania nie mogłyby zachwiać jej głębokiej wiary w to, że rząd nie mógł rozstrzelać niewinnego człowieka.

W wyobraźni swojej widziała wciąż oficerów, którzy zgodnie z przepisami postępowania sądowego roztrząsają przestępstwo każdego winowajcy i dopiero po zebraniu niewątpliwych dowodów skazują winnych na rozstrzelanie. Takim winowajcą okazał się jej mąż. Tylko że wina jego pozostawała tajemnicą dla nieszczęśliwej kobiety. Chyba tylko widok sądu w Perowie mógłby zachwiać to jej przekonanie.

Tam każdy osobiście, własnymi oczyma widział, że zabijano bez sądu, bez winy, prosto z powodu jakiegoś zbiegu okoliczności, czasem na-

wet z powodu chwilowego rozdrażnienia. Zabijano wobec wszystkich — otwarcie...

I zabito w tych, co pozostali przy życiu, wiarę w prawa ludzkie, w ochraniającą je władzę państwową, wiarę w sprawiedliwość na ziemi, tę wiarę, która nie opuszczała ich aż do późnej starości, którą odziedziczyli po swoich ojcach i dziadach. Tam, w Perowie, rzadko dało się słyszeć złowrogię pytanie:— „Za co?”

Przeciwnie, gdym pytał włościan, „za co” zabili im syna lub męża, otrzymywałem krótką, kategoryczną odpowiedź.

Tam, w Perowie, nie było wątpliwości, za co zabito tylu ludzi.

Wielu nawet, uprzedzając moje przypuszczenia, starało się skwapliwie zapobiedz omyłce z mojej strony, i zapewniało mnie:

— „Niech panu się nie zdaje, że tego lub owego zabili za to, że rabował wagony i że w jego mieszkaniu znaleziono dużo zrabowanego towaru. Wcale nie za to”.

Kiedy razu pewnego przyszedł pułkownik na rewizyę, właściciel mieszkania spytał go:

— „Czego wielmożny pan szuka? Z góry powiadam, że zrabowanego towaru mam w domu dużo”.

— „Nie o to nam chodzi, zostawcie to sobie. My szukamy broni”.

I rzeczywiście, towaru wcale nie tknęli; dużo stało butelek z wódką, dużo było innych rzeczy,— wszystko pozostawili na miejscu, nic nie ruszyli, a ponieważ broni nie znaleźli, więc sobie poszli.

Ale biedna Nadieżynowa nie jest w stanie zrozumieć tego, co tak dobrze zrozumieli mieszkań-

cy Perowa, i w ciągu dwugodzinnej naszej rozmowy słowo „za co?“ z ust jej nie schodziło.

Wiele przytoczyła „przestępnych“ czynów swego męża, lecz za każdym razem, zamyśliwszy się po chwili milczenia, jak sędzia, który bada twe sumienie, zanim wyda wyrok uniewinniający, z ożywieniem protestowała: „Nie, nie! nie za to... To musi być z pewnością jakaś inna вина. Za to nie zabija się człowieka!“

Nie zapomniała nawet przytoczyć takiego faktu z jego „przestępnej“ działalności. Kiedy raz zwrócił się do żony z prośbą, by stary paltocik syna oddała synkowi robotnika, który przez długi czas pozostawał bez pracy i bardzo potrzebował pomocy — „dałam mu palto dlatego, że mnie samej żal było chłopczyny, tak biednie i nędznie biedaczek wyglądał; syn zaś miał dobre, nowe palto. Więc dałam chłopcu stare... Za to nie mogli go chyba zabić. Cóż z tego, że to był syn robotnika, i że mu się żal zrobiło biednego chłopca. Za to się nie zabija!... Więc za co? Jakie to straszne, że ja nie wiem za co. Wszystko, co tylko mogłam sobie przypomnieć, wszystko, co wiedziałam, wszystko, co mogło być mu poczytane za winę — opowiedziałam panu. Wszak prawda, że za to nie mogli go skazać na śmierć?“

Przyznałem jej słuszność i chciałem odejść, lecz ona zatrzymała mnie i rzekła:— „Chciałam zapytać pana o zdanie. Napisałam list do jednego z naczelników i pytam, „za co“ zabili mego męża. Przeczytam panu ten list, a pan mi potem poradzi, czy go posłać“. Wysłuchałem listu.

W imieniu dzieci swoich błagała owego naczelnika, by jej powiedział prawdę, „za co“ zabili jej męża. Prosiła go dlatego, żeby, gdy dzieci podrosną, nie cią-

żyła na nich tajemnica strasznego przestępstwa ich ojca, za które został ukarany śmiercią. Lepiej jest usłyszeć gorzką prawdę, niż męczyć się w ciągłej niewiadomości strasnej tajemnicy zbrodni. Skończywszy czytanie, zapytała: „Jak pan radzi, czy posłać ten list? Czy otrzymam odpowiedź na moje pytanie?”

Cóż miałem powiedzieć znękaney kobiecie? Czy otrzyma odpowiedź na swoje pytanie „za co?”... Niech wyśle list do pułkownika Rimana. Może list jej swoją szczerością, wyrazem rozpaczliwej niedoli i bólu, które biją z każdego wyrazu, z każdego wiersza, napisanego pod wpływem głębokiej wiary w prawdę, wzruszy jego serce i może on odpowie również szczerze, że zabił jej męża „niewinnie“.



Dotąd przytaczałem fakty, zeznania świadków którzy obserwowali czyny oddziały karne, opisywałem je w takim porządku, w jakim się rozwijały — jednym słowem, spełniałem rolę sędziego śledczego, ale nie mówiłem o tem, na com sam patrzył, com sam przeczuł i przecierpiał, słuchając tych prostych, a jednocześnie krew ścinających w żyłach opowiadań wdów i matek.

Widziałem łzy ich, słyszałem ich łkania. Byłem przy samem ognisku rozpaczliwego nieszczęścia i cierpienia. Widziałem, w jak ciężką wpadły nędzę, straciwszy swoich żywicieli. Żaden opis, żadne najdokładniejsze bodaj opowiadanie nie da czytelnikowi pojęcia o tem, co musieli przecierpieć ci nieszczęśliwi ludzie i w jakim rozpaczliwym położeniu obecnie się znajdują.

Zabito ogółem 150 ludzi, a zatem 150 rodzin pozostało w nieszczęściu i nędzy bez wszelkich środków utrzymania, straciwszy najbardziej zdolnych do pracy, najdzielniejszych członków swoich rodzin.

Zapanowała wśród nich wielka nędza w całej swej nieubłaganej mocy i rozciągłości. Nietylko pozabawiono je od razu środków istnienia, lecz nadto wyrzucono z mieszkań rządowych, które zajmowały; niektóre już wyprowadziły się z wielkich domów, gdzie dawniej mieszkały, do suteryn. Widziałem p. Dorfową w nowych warunkach — w piwnicy, w jednej małej izdebce, z dwojgiem dzieci,

z których starsze jest uczniem pierwszej klasy gimnazjalnej. Przedtem mieszkali w oddzielnym domu, składającym się z 6-ciu pokoiów.

Pani Nadieżynowa z sześciorgiem dzieci nie ma żadnych środków do życia.

Rodzina Mołostowych straciła dwóch żywicieli, starszych synów, którzy utrzymywali całą rodzinę, starych rodziców i dwóch braciszków.

Rodzina robotnika Zajcëwa z sześciorgiem dzieci, jedno od drugiego mniejsze, znajduje się w ostatecznej nędzy i nie ma co jeść.

Rodzina Orłowskich z trojgiem dzieci już wyprowadziła się z mieszkania rządowego w chwili, kiedy wdowa spodziewa się czwartego dziecka.

Sto pięćdziesiąt rodzin zrujnowanych i wyrzuconych na bruk! Zabrano im wszystko: ukochanego człowieka, żywiciela rodziny, który dawał środki, dobrobyt i był ostoją w ciężkich chwilach życia.

I pomyśleć, że wszyscy ci ludzie w ciągu wielu lat oddawali swoją pracę, siły i zdrowie kolei Moskiewsko-Kazańskiej, która w krytycznej chwili nieszczęścia i nędzy nietylko nie chciała udzielić jakiegokolwiek, choćby maleńkiej na czas jakiś pomocy, bądź zasiłku na kosztą pogrzebu, lecz nawet odmówiła wydania z kasy emerytalnej oszczędności — owocu długoletniej pracy.

Czytałem oficjalny dokument zarządu kolei Moskiewsko-Kazańskiej, w którym odmówiono staremu Mołostowowi wydania z kasy emerytalnej 45 rb., pozostałych po zabitych synach a zdobytych długą ich pracą.

Po Łaryonowie pozostało 1000 rb. Kolej Moskiewsko-Kazańska odmówiła wydania tej sumy jedy-
nym spadkobiercom zabitego — starym rodzicom i siostrom, którzy żyli wyłącznie z jego zarobku.

Na jakiej podstawie coś podobnego się dzieje i jakim prawem odmawiają wydania zebranych długą pracą pieniędzy — nie wiem.

Zwróćę uwagę tylko na to, że wszystkie te rodziny z wymienionych przyczyn znajdują się obecnie w ostatecznej, wprost rozpaczliwej nędzy.

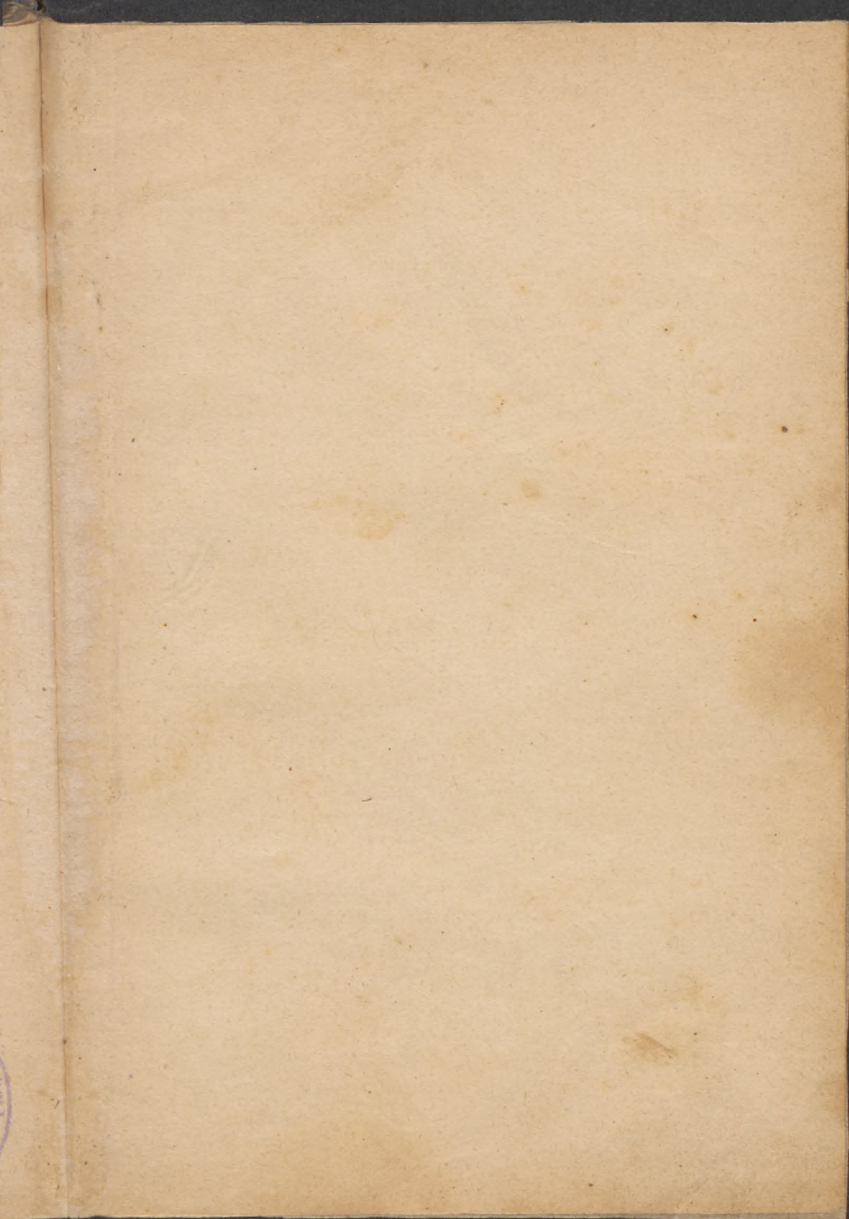
Konieczna jest pomoc całego społeczeństwa, które powinno dać znać o sobie i swoim współczuciem — groszem ofiarnym ulżyć ciężkiej doli 150 rodzin.

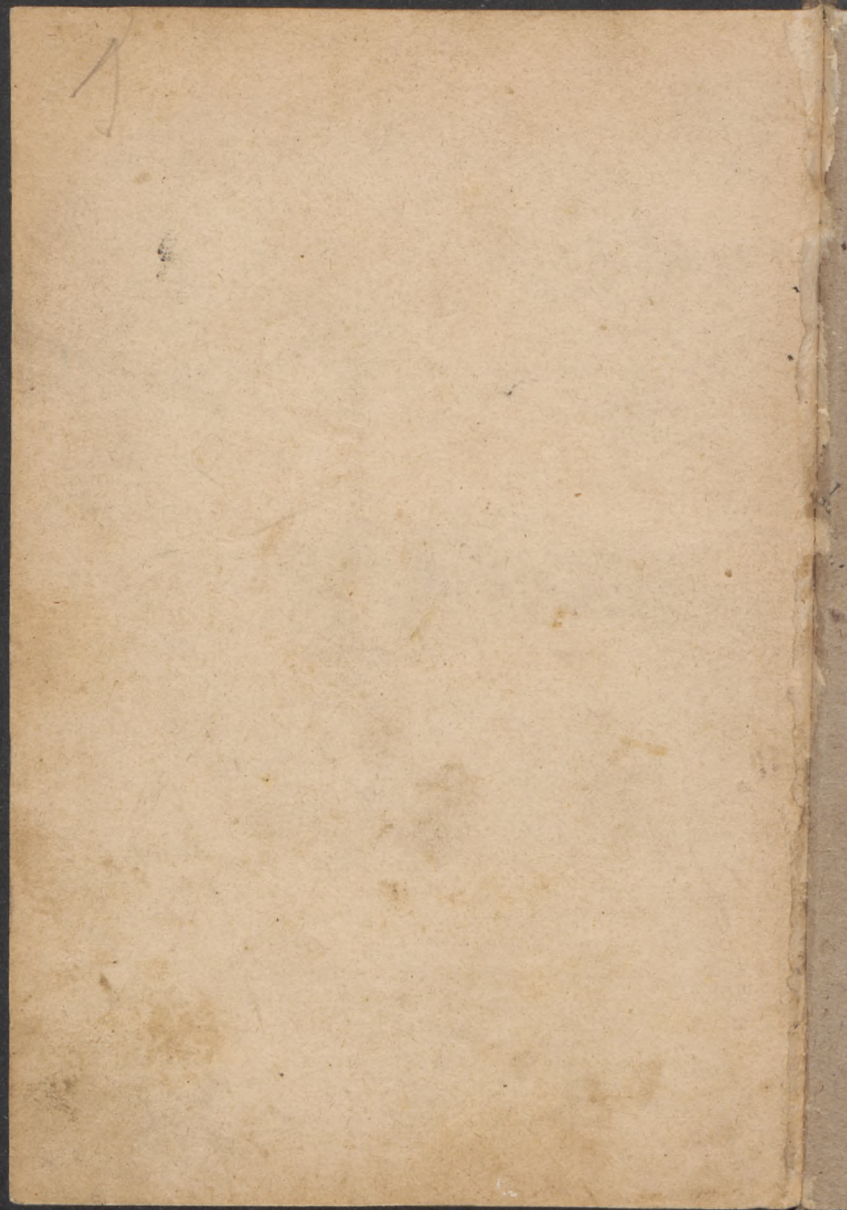
Po wydrukowaniu artykułu „Perowo“ przybył do mnie do mieszkania stary ojciec zabitych synów i opowiedział mi, że do niego przyszedł jakiś nieznajomy pan i wręczył mu 10 rb.

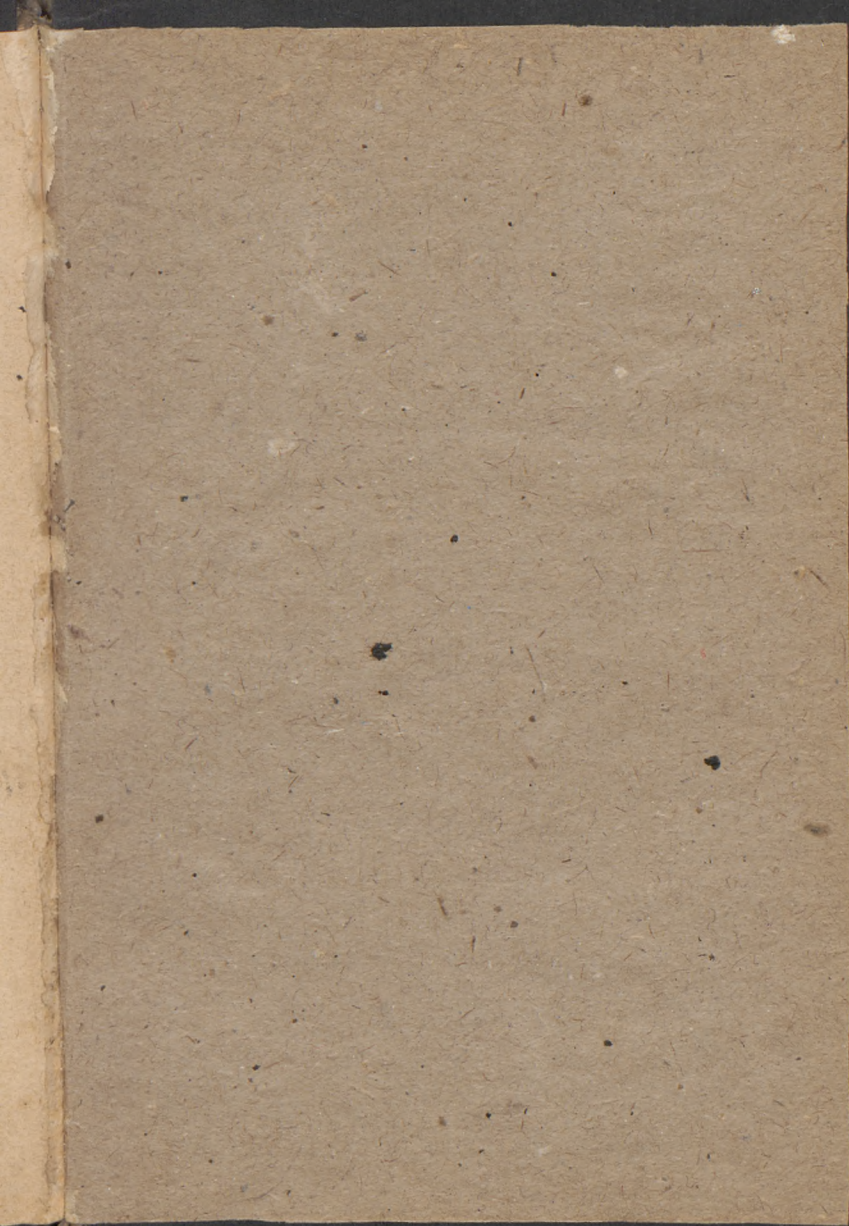
Zakłopotany w pierwszej chwili hojną ofiarą tego poczciwego a zupełnie obcego człowieka, starzec nie zdążył mu podziękować, zwłaszcza, że nieznajomy znikł natychmiast; więc starowina przyszedł do mnie do Moskwy i usilnie prosił, bym na szpaltach tej samej gazety podziękował w jego własnym oraz rodziny imieniu temu dobroczyńcy, który pragnął pozostać nieznanym.

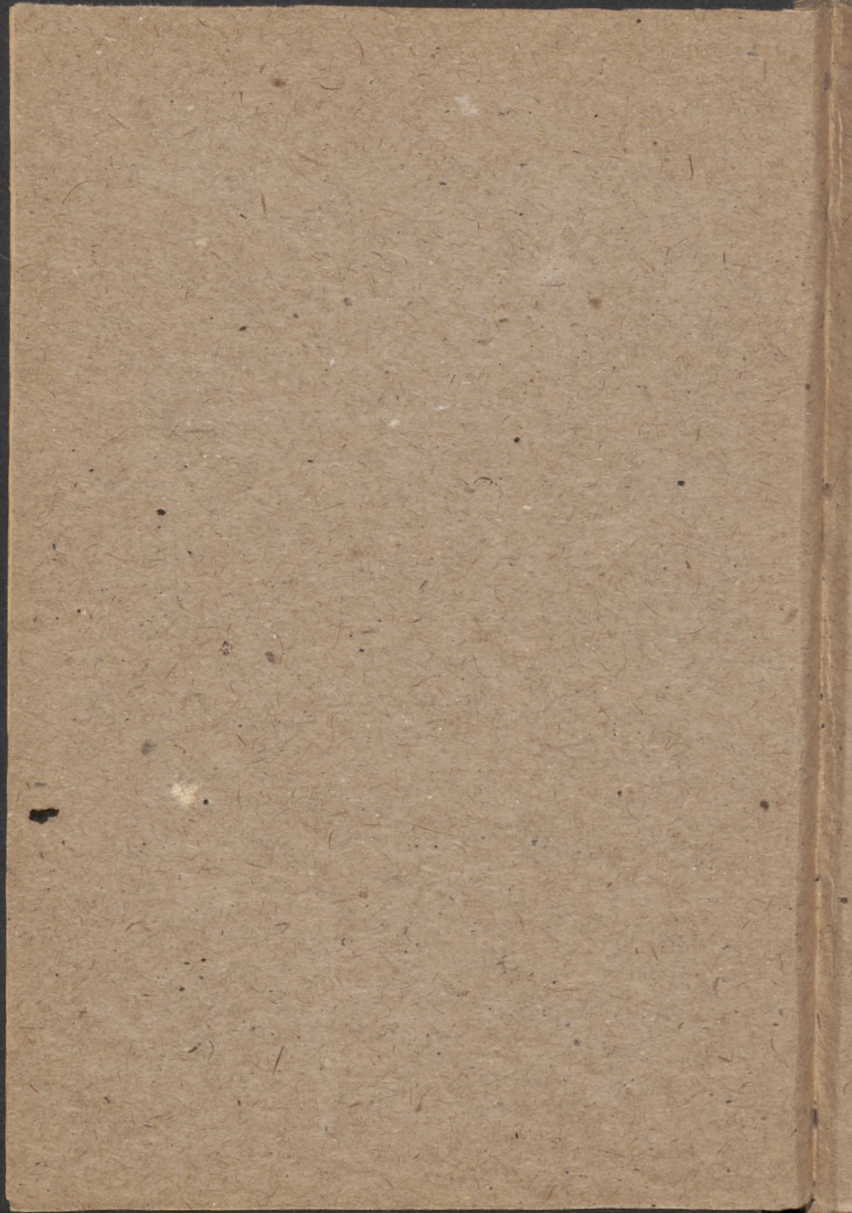
Może znajdzie się jeszcze wiele, wiele dobrych i wrażliwych na cudzą niedolę ludzi, którzy groszem ofiarnym ulżą cierpieniom i wielkiej nędzy nieszczęśliwych.

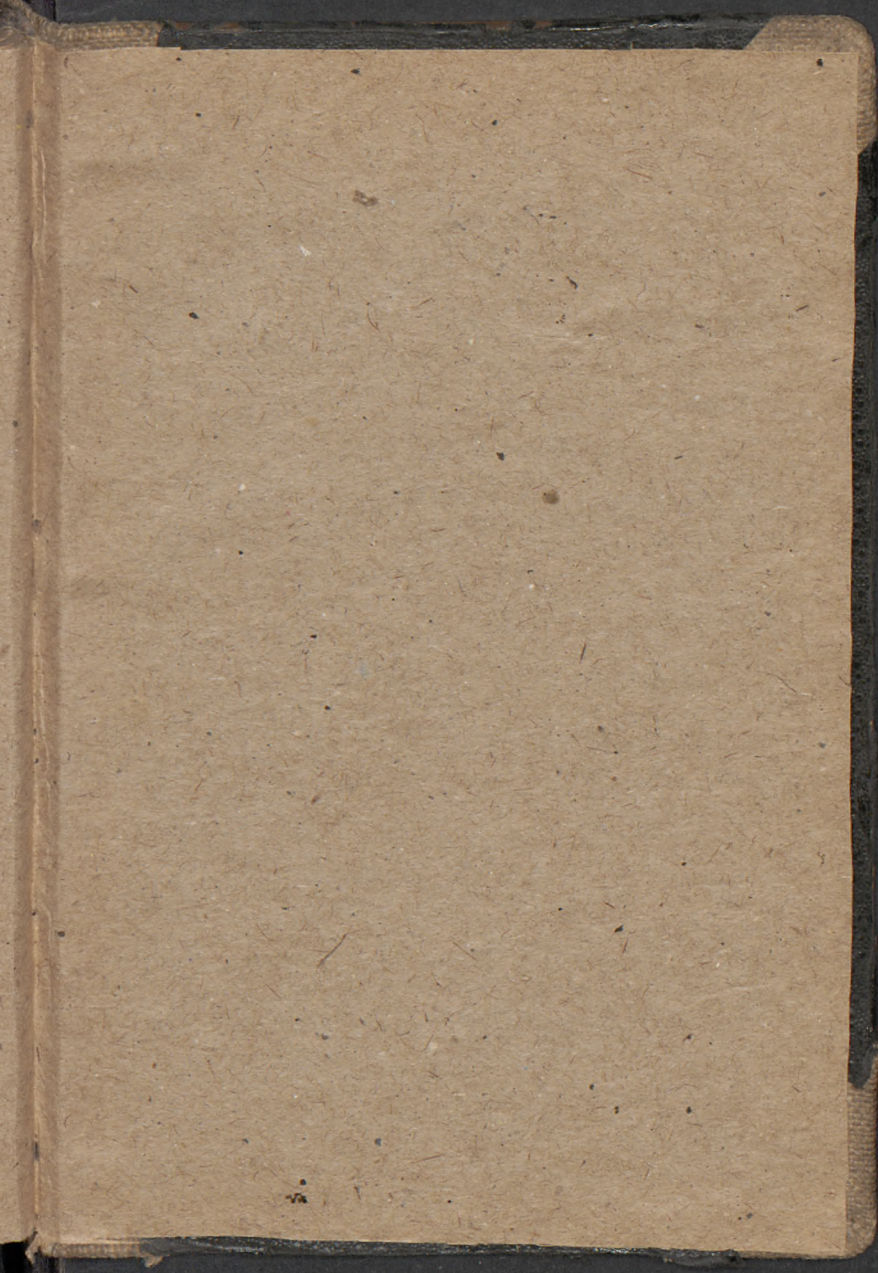












I Pam.
3365